



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rekopy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmuje: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Gildskiego, Plac Kazański Nr. 7. **Sprzedaz pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach. **Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Nietrudna zagadka. — Z Rusi galicyjskiej p. Iwana Franko. — Tydzień polityczny. — *Powieści:* Za trzydziestoletnią pracę I. p. Z. (Komara) Piskiewicz. — *Życie społeczne:* „Praca organiczna”. — *Znowul* p. W. P. — *Sprawy ekonomiczne:* Gospodarstwo wódzane p. P. — *Listy krakowskie.* — *Literatura i sztuka:* Piśmiennictwo polskie: Zofia Urbanowska. Księżulka p. M. Bohusza. Koźmiński Stanisław (1811—1886) p. Z. — *Językoznawstwo:* Vytutas. — *Rzut oka* na starożytność narodu litewskiego p. Justyna Feliksa Gajlera. — *Poezja:* Wieszcz p. Włodzimierza Wysockiego. — *Felieton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — *Na widnokręgu* p. Nieborskiego. — *Cudze głosy.* — *Kronika bieżąca.* — *Odpowiedzi redakcyi.* — *Ogłoszenia.*

Redakcja PRAWDY zawarła umowę z p. K. Bartoszewiczem, na mocy której tanie jego wydawnictwo dzieł pisarzy polskich otrzymywać mogą nasi prenumeratorowie po nadzwyczajnie zmniejszonej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N. Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego (4 tomy), Ignacego Krasińskiego (5 tomów) i Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. — odstępuje p. B. dla naszych prenumeratorów za 5 rs., czyli 6 tom tego wydawnictwa (280—330 str. druku) wypadnie za 33 kop.

Abonenci z prowincyi zechcą dołączyć na koszt przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Administracji:

Dzieła J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop.

Dzieła Ign. Krasińskiego za 2 rs.

Dzieła Jana Kochanowskiego za 1 rs. 50 kop.

Satyry Opalińskiego za 50 kop.

Upraszamy o wczesne zgłaszanie się z powodu niewielkiej ilości kompletów.

SPOŁECZNA NAKŁADOWA wydała studjum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DRÓBNA SZLACHTA W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Cena kop. 60.

Ekonomia polityczna, dołączona zeszytami w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*, w osobnym odbiciu kosztuje rs. 3.

POLITYKA.

NIETRUDNA ZAGADKA.

Barykady w Berlinie, rozruchy w kraju i wstrząśnienia w Europie doradziły królowi pruskiemu 1848 r. wielką łagodność

i skłonność do ustępstw. Nietylko więc poczuł on nagle silne podobańca konstytucyjne, ale nawet obiecał uwzględnić życzenia swych polskich poddanych. Kiedy przybyła do Berlina deputacja poznańska, Fryderyk Wilhelm, przysięgając łaskawie i polecił utworzyć komisję mieszaną dla ułożenia wniosków do tronu. Na miejsce ruchu wywołany został generał Willisen, który—jak głoszą—„zobowiązał się w imieniu króla zreorganizować Księstwo poznańskie na zasadach polskich, wykluczywszy wszystkich Niemców z organizacji wojakowej i utworzyć korpus wyłączenie narodowy.” Wkrótce jednak spotwarzony winami, których nie popelił, dając tylko do uśmierzenia gorączki i rozbrojenia zbuntowanych, obdarzony nielaską monarchy, który ohołnął z trwogi, Willisen wrócił do Berlina i ustąpił swej roli gen. Pfuelowi.

Kiedy się to działo, siedział sobie na Pomorzu nieznany szlachcic, który oburzony zapalem berlińskim dla uwiesionych polaków oraz łagodnością gen. Willisena, napisał do redakcyi *Magdeb. Zeitung* list pełen gorzkiej złości. Owym szlachciem był Otto v. Bismark—a jego epistołę czytamy obecnie przedrukowaną ze wspomnianej gazety we wszystkich dziennikach.

„Uwolnienie polaków, oskarżonych o zdradę stanu—pisze on 20 kwietnia 1848 r.—oto jedne ze zdobyczy berlińskiej walki marcowej—zdobycy najistotniejszych, gdyż konstytucyjna, wolność prasy i środki zjednoczenia Niemiec były już przed wybuchem zapewnione.

Berlińczycy uwolnili polaków krwią swoją, a następnie ciągnęli ich własnymi rękami w triumfie przez miasto; wywyżczając się za to, stanęli wyswobodzeni niezadługo na czele band, które nawiedziły niemieckich poddanych, zabijając i harbarzyńskiem kaleczeniu niewiast i dzieci! Tak to entuzjazm niemiecki na własną szkodę wyciągał znowu obce kasztany z ognia!

Umiabym sobie to wytknąć, gdyby pierwszy zapal niemieckiej siły i popęd do jednolitości zwrócił się był przeciw Francji i zażądał od niej zwrotu Alzacji i Lotaryngii, i aby na wieki katedry strasburskiej zatknęły chorągiew niemiecką; ale doprawdy jest to czemś więcej, niż dobroduszość, gdy nadążając ryerskość bohaterów romantycznych, przedewszystkiem zapalamy się do tego, aby niemieckim państwom wydzierano resztki tego, co niemiecki orgz przez wieki całe zdobył we Włoszech i w Polsce. To chcielibyśmy z radosnym okrzykiem rozdarować dla urzeczywistnienia fantastycznej teoryi, która nas doprowadził mniś do tego, że z naszych południowo-wschodnich ziem granicznych w Styryi i Ilirji bieżmy musieli utworzyć nowe państwo słowiańskie, że Tyrol włoski oddamy Wenecyi, a z Morawii i Czech aż w głąb Niemiec utworzymy niezależne od nas państwo czeskie.

Narodowy rozwój polskiego żywiołu w Poznaniu nie może mieć innego rozsądnego celu nad ten, że służyć będzie jako przygotowanie do urzeczywistnienia wiadomych marzeń—wtedy przyciętoby najlepsze ścięgnię Prus, a miliony Niemców oddano na łup samowoli polaków, aby przez to uzyskać niepewnego sprzymierzeńca, który namigłynie czyhałby na każdy krok Niemiec i usiłował odebrać Prusom wschodnie, Śląsk polski i polskie dzielnice na Pomorzu.

Z drugiej strony może istnieje zamiar skromniejszy. W takim razie tylko ten, kto polaków wcale nie zna, może wątpić o tem, że zostaliby oni nieublagannymi wrogami naszymi, dopóki by na nas nie zdobyli ujścia Wisły, a następnie każdej polskiej wsi w Prusach Wschodnich i Zachodnich, na Pomorzu i na Śląsku.

Jak może Niemiec dla czułościowych i niepraktycznych sympatyj i teoryj zapalać się do tego, żeby w pobliżu ojczyzny swojej stworzyć niezmordowanego wroga, który ciągle będzie usiłował gorączkowo niepokój wewnętrzny ostudzić za pomocą wojen i przy każdym zawikłaniu na zachodzie na nas z tyłu napadać! Ten wróg

będzie i musiałby być daleko chciwszym zdobywcą na naszych wschodnich granicach, aniżeli Roesa.

Dla tego dzisiejsza nasza polityka co do Poznańskiego, choćbyśmy tam każdego Niemca ubezpieczyli dla związku niemieckiego, choćbyśmy tam tylko drobną część kraju odstąpili—uwazam za największego posłowania godną donkiszoterję, jakiej kiedykolwiek dopuściło się państwo na szkodę własną i na szkodę swych poddanych. Rząd powierzył uregulowanie tej sprawy człowiekowi, sprzyjającemu więcej polakom, aniżeli Niemcom, którego postępowanie wzięcia w armi i obrażenia, w kraju nieufności, którego słabość wieńczy i uświada uchybienia popełnione w tej sprawie. Ostatnie pompatyczne oświadczenie tego komisarza, który się przechwala, że dzięki staraniom zdołałaś w końcu tę kwestję na drodze pokojowej, ukazało się w dziennikach równocześnie z zażaleniami władz i osób prywatnych, które ciągle mówią o zabójstwach i rabunkach, dokonywanych na Niemcach, i o ograbieniu starców z wojskiem. Czyż odpowiedział ministerstwo króla wobec narodowego zgromadzenia przyjmie odpowiedzialność za to wszystko, co p. Willisen w Poznaniu uczynił i co uczynił zaniedbał, jako też za cały dotychczasowy kierunek naszej polskiej polityki? Byłoby zresztą rzeczą nader ważną przejść do jasnego przekonania, czy w Prusach mają jeszcze jakieś znaczenie te same zasady prawne, które zastosowano w zeszłym roku w polskim procesie przeciw obwinionym?²⁴

W całym tym liście nieznajdujemy nic nowego, nad to, co widzieliśmy i słyszeliśmy przez 30 kilka lat po nim idących. Nie jest nawet dla nas zagadką podbuda, która otwora pismo, naturalnie za zgodą kanclerza, na widok publiczny wypchnęła. Przed rozpoczęciem się obrad sejmowych, które znów w wywiad sprawę wydalenia Polaków przed trybunał opinii, należało „kamieniem piekielnym” napietnować z tych buntowników, należało przypomniać zmarnowaną „krew berlińską”, należało drakońskiemu edykto- wi dorobić rodowód historyczny i zmasadzić go w przeszłości. Ka. Bismark w tym procesie wyciąga wszelkie argumenty na swoją obronę. Do tylka zaslepionym nie jest, żeby nie dostrzegał, że wypędzenie

kilkudziesięciu tysięcy niewinnych ludzi przyjęto w kraju z niechęcią. Oto znnowu znakomity prawnik L. Bar wystąpił w tygodniku postępowym *Die Nation* z euro- wia dla rządu pruskiego nagana. Bar prze- powiada, że inne państwa, przedzej czy pó- źniej, użyją tego samego środka względem Niemców z taką samą dobrą racją.

Ks. Bismark wszystko to czyta i—broni się. Tak, on w tej sprawie raczej broni się, niż napada. Szarpie go prasa niemie- cka, szarpie zagraniczna, oskarżając uchwa- ly zgromadzenia—o to tego wszystkiego nie- długo dwa sejmy zaczęły ostrzeliwać. W ta- kich opałach można ogłaszać listy z 1848 r.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, 10 stycznia 1886.

Ka. biskup Pełez, jego mowa w sejmie lwowskim i jego instalacja.

Najważniejszym faktem ubiegłego tygodnia jest bez wątpienia trzydniowa rozpra- wa nad wnioskiem p. Romanczuka, a właści- wie udział w niej ks. biskupa Pełeza. Rozprawa ta, której pozoru dostarczył znany wniosek o języku wykładowym w szkołach galicyjskich, a której właściwą podstawą był cały międzynarodowy stosunek rusi- now i Polaków, należy do najciekawszych ustępów w historii sejmu galicyjskiego, wystąpienie zaś ks. Pełeza i zwrot w usposobieniu większości polskiej dokonany pod wpływem jego mowy—może do najpiękniejszych kart tej historii.

Dwadzieścia lat minęło, odkąd w tym samym lwowskim sejmie hr. Leszek Borkowski wykreślił pamiętne słowo: „Niema Rusi”; obecne obrady miały pokazać z jed- nej strony, czy i czego społeczeństwo pol- skie nauczyło się przez lat 20, z drugiej zaś, czy i o ile sprawa rusińska pracą samych rusi- now dojrzała, wzmocniła się i postę- piła naprzód. Egzamin wypadł zadawal- niająco. Prawda, pomiędzy Polakami zna- lazły się dwie „zamarynowane głowy”, które osmieliły się powtórzyć dawne hasło p. Borkowskiego—niejaki p. Torosiewicz, który mowę swoją rozpoczął charakterystycznymi słowami: „Panowie, znacie mnie, że od dwudziestu lat siedzę w tym sejmie i nie nie gadam, ale teraz już doprawdy

nie mogę wytrzymać,” drugi p. Golejewski, który niekiedy mianuje się rusinem, a obec- nie wykreślił spokojnie wielkie słowa: „Ja tu właściwie żadnej Rusi nie widzę.” Zna- leźli się—mówię—ludzie, którzy dobitnie pokazali, iż od lat 20 niczego się nie nau- czyli i dużo zapomnieli, lecz jakże mierną rolę odegrali obecnie. Ogół posłów, który w r. 1865 przyklaskiwał „świeżej” prze- mowie hr. Borkowskiego, teraz albo mil- czał ponuro przy wyrzykach pp. Torosie- wicza i Golejewskiego, albo też—o gro- zło—domagał się od prezydium, by ich zawołał do porządku! A gdy później ze strony rusi- now i Polaków demokratów po- pytał się na ich biedne głowy czy gład obrzeź i wyrzutów, nie dopuszczono ich nawet do głosu dla jakiegokolwiek obrony! Rzecz oczywista, że większość sejmujących widzi i czuje obecnie Rusi tam, gdzie jej przed laty dwudziestu nie czuła i nie wi- działa, że kwestya rusińska nie jest już żadnym upiorem, strasznym przez swą niewidzialność tajemniczą moc szkodzenia i burzenia, która stała się wyrazem świado- mych, jawnych dążeń do narodu, któremu nie można zaprzeczyć prawa do postępu i rozwoju na rodzimym niwie już chociażby dla tego, że sam własną siłą zdobył sobie to pole, sam też zaczął stawiać na nim pierwsze, może nie dojrzałe jeszcze, lecz bądź co bądź, wyraźne kroki.

Mimo jednak tego pocieszającego zwrotu w opinii publicznej polskiej, która zresztą po za sejmem przejawia się niemniej wy- bitnie, rozprawa nad wnioskiem Roman- czuka i tym razem groziła beznadziejną ga- danią bez większej doniosłości, zwłaszcza że ze strony rusińskiej pomimo oberzanych przemówień p. Kaczuli i Romanczuka nie wyrzeczono niczego na tyle zasadniczego, i pozytywnego zarzemu, nabyły nastroj- umysłu na wyższy nieco kamerton i prze- łamać lody wzajemnej nieufności. Przeci- wnie, z przemówień rusińskich posłów widać bardzo wyraźnie rozdźwięk, może naturalnie wobec wystąpienia wspomina- nych panów, lecz wcale nie polityczny. Dopiero ka. Pełez wskazał grunt, na którym wspólnie stać mogą Polacy i Rusini w Austrii: wierność dla państwa i dla kościoła katolickiego. Osobliwie wygo- zosił godła katolickiego (czego ka. Pełez- dokonał nie bez pewnego logicznego *salvo mortale*) jako podstawy dla szerokiego pro- gramu narodowego rusińskiego, wiele po- dobało się większości sejmowej; czy i o il- program narodowy rusiński można ująć mi- ńsz o czysto katolickim, to wniknąć nie- wchodził. Ważnem tatem było przedewszyst-

— Nie rozumiem, *jakobkochem*—mawiał Samotya—czemu ten chłopiec nie kiero- wał się na uzonęgo? Miałby więcej książ- ek, niż teraz, a jego miejsce w „Rosiej Jamio” zająłby ktoś z naszych...

— Ah, Gaudenty! Przemadzałby je- szcze więcej, a taś Dubiński i Kłokoccy szorzej by goby rozdziwiali, słuchając go.

W ten sposób rysy, z twarzą apoplekty- czną i oczami wyzierającymi się, Ois- kiewicz, i stary lisa, szuchną z wieści, a niewiniątko z wejrzenia, Samotya, roz- mawiali często o wstręcie Żurby do okra- dania dziadzi i o zamiłowaniu jego do książek. Miał on ich trochę od ojca, trochę od wuja, zawziętego wolno-mularza. Czego między nimi nie było? Znajdowały się tam powieści Walter-Skota i Kraszew- skiego, poezye Mickiewicza i opisy wojen napoleońskich, historia jankobizmu i „Le- karz wiejski”, książka treści medycznej, z datą 1792 r., napisana przez niejakiogo Do- nina, dzieła Naruszewicza i „Museum domo- we”, piśmi Krasickiego i słownik Kluka, herbarz Paprockiego i podręcznik techno- logii „Lekarz wiejski”, słownik Kluka, historia jankobizmu i „Technologia” do- starzały Żurbin takich wiadomości, które w dziwnym wprawiły słyszących je od

2)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIA PRACĘ.

Koledzy — różne ku niemu uczucia ży- wali. Chciwy i chytry, kłkorgiem dzieci obdarzony przez swą matkę Samotya lasił się do niego w oczy, a za oczy „pay wieszal”. Odmawiał mu zdolności zrobienia majątku, do upodoban zaś jego w ozdabianie „Rosiej kniei” robił przytyki złości- we, lisie.

— Żurba wkrótce znacznie prosił księcia o politykę do plotu...

— Ah, tak, Gaudenty! A jakże! — do- pomagaj mu wtedy Oiszkiewicz — ledwie nie widąc, jak zapagnie dywanów książecz- ych na ścianę! Chi, chi, chi...

Dubiński, cały dyszący niepowiścią ku chamom, syn ekonomy, zdolny aż do upo- dlenia nęgać innym, czując wyższość mo- ralną Żurby i widząc o względach dlań zwierzchnika, trzymał się go. Jeden tylko

Kłokoczi, dobry chłopiec, hardy i serdoci- czny, żył z nim w przyjaźni. Podwładnych sobie stróżów niechętnie, w ostatecznym tylko razie hajał. Tak samo, jak Żurba, otrzymał średnie wykształcenie. Oiszkie- wicz służył niegdyś w puszczy białowieskiej i należał do sławnej kradzieży kilko- dziesięcioletniej w lasach rządowych. Miał się nie źle, bo myślał wziąć u księcia folwark w dzierżawę. Na Żurbę patrzył, jak człowieka, co wielu w swym życiu rzeczy nie uszanował i kłosec naladował tegoż, patrzył na młodzieńca, mającego, zdum- niego go, podotygił w te same słady. Tem pogardliwiej z Samotya o nim się wyraża- ła, im więcej w tym chłopcu dostrzegał cech niezwości.

— Ja tobie mówię, Gaudenty — powta- rzał swemu przyjacielowi — że ten Żurba, ta panienka, rozpadał się nad kwiatami, przestęka całe swe życie w nędy... Jeżeli na nieszczęście swoje ożeni się kiedyś, i sam, i żona, i dzieci jego z głodu będą mrzeć z chłodu się trzęść. Myślałem z początku, że to nasz brat... co, gdzie jemu do nas! Wiorem mu być zeszłym po wiek wie- ków i gołcom!

— A też fawory Dobrogośdickiego?

— Baj-baju, będzieś w raju! Łaska pańska na petrym koniu jeździ.

stkiem wyraźnie zapewnienie biskupa, które zresztą znalazło rażąco odgłos i w gazetach ruskich, nie tylko w klerikalnym *Mirze*, lecz i w liberalnym *Dile*.

Mowa ks. Peleza zrobiła w sejmie i poza sejmem bardzo wielkie i korzystne wrażenie; ks. A. Sapieha zaraz uznał ją za programową, wciągając w niej nowy objaw politycznej myśli ruskiej. Ważnem było również to, że biskup bardzo wyraźnie zaliczył się do tej samej partii ruskiej, co p. Romanowicz i ks. Kazała, t. j. do narodowców, znaczącą przeto dla naszem demokratyczny charakter swego programu. W odpowiedzi też na ten ustęp jego przemowy wystąpił pos. Romanowicz z uroczystym zapewnieniem, że polscy demokraci solidaryzują się z ruskimi narodowcami i gotowi iść z nimi ręką w rękę.

Takie były charakterystyczne objawy tej rozprawy, która, zdaniem mojem, ma więcej zasadnicze, niż praktyczne, na razie wagi. Bo chociaż pod wpływem obrad wielu posłów gruntownie zmieniło poglądy swa na wniosek Romanowicza i chociaż ogromną większość odeślano całą tę sprawę jeszcze raz do komisji szkolnej dla nowego rozpoznania, tam zasada rozszerzenia praw ruskiego języka w szkołach nie bardzo znacznie uchyliła postępy. Politycy polscy z obozu krakowskiego — ludzie praktyczni, lubią i umieją się targować. Zresztą wkrótce będziemy mieli sposobność wrócić do tej sprawy.

Dało odbyć się uroczyste wprowadzenie ks. Peleza na nowo utworzoną stolicę biskupią w Stanisławowie. Wszystkie władze państwowe i autonomiczne, towarzystwa, instytucje i redakcje pism ruskich wysłały swoich delegatów. Nie ojedynie się zapewnił bezprzemówienny charakter politycznego, które wielo mogły przyczynić się do oświetlenia stanowiska narozmaitych warstw społecznych i narodowych względem władzy i jego świeżo ogłoszonego programu. Lecz o tem później.

Iwan Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po wielu usiłowaniach udało się nakoniec Freycinetowi skleić gabinet, który liczyć może na poparcie republikanów wszystkich odcieni. Na 11 ministerów 5 należy do stronnictwa umiarkowanego,

niedzielnego. Znal się na wielu chorobach i lekach, zapamiętał oznaki niektórych cierpień groźniejszych i oszałem w dni pochwurne i samotne, pod wpływem długiej samotności, smutny, w sobie samym widział ślady złych objawów. O posępnym jakobinach, dużo i zapalając się opowiadał. Z technologii, grubej, oprawnej w zieloną okładkę książkę, wielo się dowiedział. W lasach księcia Wirszajl starym sposobem, w piecach ziemnych, pędzono smole; Żurbię przychodziło na myśl rozumnie urządzone amolarnie amerykańskie. Marzył o zastosowaniu ich w kraju.

— Brednie to są, bredniel — wywrzyl swą niewiarę oszałem którykolwiek z kolegów.

— Ależ o tem w książce jest! — wykrzykiwał oburzony.

Otwierał „Lekarza”, w pergamin oprawnego lub „Technologia” w zielonej okładce, i, rozłożony na niedowiarłów, czytał im z przejęciem, zapijając się duszą całą, czepiając słów autora, jak dziecko, zranione grubym obejściem, szat matki. Skończywszy zaś, pytał odurzonych raczej dźwiękiem wyrazów, niż ich znaczeniem, słuchaczów: „a co?”

— Tom to właśnie soigał od Samotywy i Ciszkiewiczów przytyki do ucośności.

4 do radykalnego, 2 wreszcie — wojny i marynarki nie liczą się do żadnej partii. Radykalizm kilku nowych ministrów jest właściwie bardzo delikatnem zabarwieniem na różowy ich przekonań; jeden tylko Lockroy przedstawia pewną się polityczną. Nowy gabinet zamierza zająć się głównie sprawami ekonomicznymi, uporządkowaniem finansów i reformą administracji, nie zasadniczą wszakże, ale dotyczącą tylko składu osobistego. Wydatki na utrzymanie kolonii mają być ograniczone.

Z pobudki Rosji przedstawicieli sześciu mocarstw zawezwali Turcję, Bułgarię i Serbię, żeby rozbroili się, to samo zadanie powtórzone zostało w Atenach, ale, jak się zdaje, nigdzie nie wywoła pożądanego skutku. Turcy w żadnym razie na nie się nie zgodzi, drobne państewka zaś przyrzekają posłuszeństwo, ale zlekąkają z wykonaniem. Szczególniej oporną okazuje się Grecja, która nie może pogodzić się z myślą, że nie nie dostanie. Okazuje się przeto, że niektórzy państwa Anglii Francji, nie są przeziwne rozszewieniem helleńskim, owsem obiecują im nawet poparcie.

Grecy pragną otrzymać pozostałe pod panowaniem tureckim części Epiru i Tessalii; gdyby się udało, to i kuwałek Macedonii, ale w ostatecznym razie zadowoliliby się przyłączeniem Krety. Zgromadzenie prowincjonalne na tej wyspie ogłosiło podobno połączenie jej z Grecją, przykład Rumelii świadczy, że takie stworzenie „faktu dokonanego” prowadzi do rezultatów pomyślnych. Bo jakikolwiek obrót weźmą wypadki na półwyspie Bałkańskim, zjednoczona Bułgaria nie ulegnie już rozczłonkowaniu. Mocarstwa i Turcyu milcząco uznają unię, trudności zaś stawiane rządowi bułgarskiemu mają na celu albo honorowy odwrót, albo wytargowanie pewnych, równie bardziej formalnych, aniżeli rzeczywistych ustępów. Forta np. zgadza się na połączenie obu Bułgarii pod rządami księcia Aleksandra, ale pragnie, żeby unia była tylko osobista, każda prowincja mieć powinna oddzielne wojsko i parlament, chociaż do spraw wspólnych istniałaby jedna delegacja. Sultan nie rzeka się zwierzchnictwa nad Rumelią i mianowanie wyższych urzędników odbywać się może jedynie za jego zezwoleniem.

Rząd bułgarski rozumie dobrze swoje położenie i nie daje się z tropu groźnemi minami lub też wywieść w pole forteli dyplomacji. Zapewnijają sultana o swoim posłuszeństwie, księcia Aleksan-

der zaprowadza jednocześnie sądownictwo bułgarskie w Rumelii.

Dotychczasowe próby zbliżenia się do Rosji i pozyskania jej względów wydają jednak rezultat widoczny, że rząd petersburski nie sprzeciwia się unii. Gazety wspominają, że księciu Aleksandrowi postawiono warunek konieczny, żeby usunął rząd dowodzą Krawelowa i twórców rewolucji rumeljskiej. Warunek ten jest trudny bardzo, niepodobny prawie do wykonania, chyba że sami ci źle widziani mówią usuną się dobrowolnie. O poświęceniu takim może być mowa w chwili stanowczej, teraz jednak Bułgaria poprzestaje może na rezultatach, jakie osiągnęła, t. j. na złagodzeniu bezwzględnej opozycji sprawie zjednoczenia.

W Hiszpanii, w Kartaginie, która uważana jest jako siedlisko radykalizmu usiłowało urządzać rewolucję. Projekt wszakże nie udał się, wojsko zamknęło się w cytadeli a powstańcy, oblicywszy swe siły, przyszli do wniosku, że miasta utrzymać nie zdołają i cofnęli się w góry. Drobny to fakt, ale znaczący, jako objaw stosunków miejscowych.

Pużesz wywosował do księcia Bismarka list, w którym dążył do wyboru na superarbitra w sprawie karolińskiej i oddaje pochwale głębokiej mądrości kanclerza. Zdaje się, że bezpośrednia odpowiedź na te umiagi jest wiadomością o zgodzie rządu pruskiego na obsadzenie biskupstwa galicyjskiego. Obie strony nastąpiły coś ze swych wymagań i wynalazy wreszcie kandydata, posiadającego zaufanie obopólne, nim jakim polak, ale ze... Salską. Badać o bąd, order Chrystusa na piersiach Bismarka przepłył przez najwyższego pastora katolików, bliższy bardzo dziwnemu światom.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„PRACA ORGANICZNA”

Trzeba koniecznie zgrzyść, ząb i wypłnąć w przestrzeń to, co było, a spadnie na ziemię to, co być powinno. Według tego przepisu z lekkim trendem leżały ludzkość i narody rozmaici snachorzy polityczni i społeczni, zbierający obławę i grosze w swojej wiosce lub gminie. Ponieważ zaś nie-

kolodzy, nastruszyć zuchwalących złodziei-wów. Zaspapany, z jednostajnem „jaż tubie dami popamiętasz!” jak rumak, rozgrzany wrzawa bitwy, rzucił się z zaciętymi aż do bólu skroni zębami i pięściami na winowajców. Taki człowiek — to istny skarb!..

O sobie tylko mało pamiętał. Nie będąc z natury chciwym i nie posiadając jeszcze żony z dziećmi, nie okradł chłobodawcy. Środki utrzymania, dawane przez księcia, wystarczały mu. Ani jednego grosza nie uciął w ciągu służby. Cudzą swą spiskarnię zdał na ręce Motrny, która nieraz nadużywała jego zaufania, lecz on tego nie wiedział. Łosie, sarny, ptaszarnia domowa, lanie kul, wozytwanie się w „Technologii” i „Lekarza”, oraz nowe przeróbki w domu, pielegnowanie kwiatów i zdawanie co miesiąc wytwornie sporządzonych raportów Dobrodożkiemu — oto, w czym się gubiła cała jego uwaga. Tymczasem mięso, słonina, masło i mąka zmikały dziwnie prędko. Czując niewygodę z natrętną kolegow, nie umiał na to poradzić.

— Powinieneś być dbalszym. Jasie, o siebie! — napominała nieraz matka, gdy przyjeżdżała doń w odwiedziny. Objadają

Pięć lat Żurba służył u księcia Wirszajl.

W ciągu tego czasu rozwinęły się w jego charakterze dwa rysy. Żywo się przejmował wszystkiem, co do chłobodawcy należało, i stał się pilnym. Szczególnie w sprawozdaniach piśmiennych objawiał pilność. Żaden leśniczy nie utrzymywał tak porządku, jak on, swych kwiaturników. Przez cały ciąg pięcioletniej służby główny zarząd leśny odbierał od Żurby rachunki dokładnie i wykonywało w formie. Powołał się sporządzać, ale zawsze opatrzył jakąś swego pomysłu rubryką, bardzo trafną. Kwiaturnik jego wynosiłku Dobrodożki zaprowadził w całej administracji leśnej księcia Wirszajl. Nie było gorliwszego obrońcy praw księcia nad tego chłopca. Wozytował się w przepisy prawne, znał się dobrze na stopniach kary za wzniecony pożar w lesie, za ścięcie drzew, za wydzieranie barci. Znalp kogokolwiek na szkodzi, a napotkał opór ze strony rubasia drzew lub zwierzyń, wtedy rwącym się od wzruszenia głosem wydawał swym „leśnikom” rozkazy przystrzymania. Nie posiadał grzmiejącego, jak Samotyła w Ciszkiewiec, głosu, który wydobyszy się z piersi, nie daleko od niego odbiegał, marł tuż zaraz. Nie mógł więc Żurba, jak jego

ma świeżbiączki, któraby częściej i mocniej drażniła umysł ambitny nad chęć reformatorstwa, więc kaznodziejów, apostołów, mesjaszów, małych i maleńkich inżynierów, wytykających drogi w przyszłości, nigdy nie brakło. Historia też człowieczeństwa jest długa i obfita — jak świadczy o tem osobne dzieło jej poświęcone.

Najplodniejszą matką tego rodu jest niedola. Na jej łonie kolyśzą się i chowają krzykliwe i kapryśne dzieci, pragnące trzymać chorągiewkę w jednej a kule świata w drugiej ręce. Ale gdy przed społeczeństwem otwiera się droga prosta, szeroka, oświetlona promieniami szczęścia, wtedy milną błędne ogniki, które płoną na moczarach i bagnach. Gdy w ciężkiej wędrówce po mównicach najrozumniejsi stracą głowę, nikt nie ma busoli i nikt nie widzi bezpiecznego wyjścia, wtedy każdy następuje za swym pomysłem, każdy radzi, a najłokkomyślniejsi objawiają największą pewność siebie i chęć ukamieniania dyktandozawców przewodników. Ze ich głos chwytały uszy, że ich wskazówek słucha złąbkana rzęsa — nie w tem dziwno. W niebezpieczeństwach, w rozpacz strwożona myśl ciepła się wszelkiego okrzyku śmiałego i zwykłe przeniesie namowę do ryzyka nad zachętę do długiego mozołu. Dajejś bankrutowi do wyboru: grę lub pracę, loteryję lub oszczędność, z pewnością ujrzy swój ratunek w pierwszych, a nie w ostatnich.

Tak bywało zawsze i wszędzie.

Zgranemu do ostatniej kieszki, zawiedzionemu na wszystkich loteryach narodowi naszemu wskazano inny, przeciwny kierunek — pole wewnętrzznego rozwoju. Z odmiennych nie i odmiennie rzecz usłysy wówczas program t. z. „pracy organicznej,” polegający na zamianowaniu wewnętrznych, duchowych i materialnych sił społeczeństwa, na mnożeniu jego zasobów we wszystkich dziedzinach, na potęgowaniu czynników żywotnych. Po prostu nie było w tej regule nic nowego, bo przecie każdy naród cywilizowany, nie niezażyty i nieskosteniały, pracuje nad

swym rozwojem wewnętrznym. W naszym jednak życiu zbiorowem było to zasadą o tyle nową, że ona przeciwstawiała się ostro dawniejszej, długo poważnie wyznawanej i surowo przez skutki osądzanej — zasadzie spekulacji na pomoce zewnętrzne i porwy zbrojne. Na tym punkcie spoczywała cała waga głoszonej idei, która wszczepiała się trudno, bo zamylała dążenia i cele ogółu w ciasniejsze cele przedsięwzięć społecznych, bo rozpraszała ulubione złudzenia, zobowiązywała do ciężkich trudów i ofiar a nadzieję spełnionych pragnień odsuwała w przyszłość daleką. W połowie siódmej dekadki lat bieżącego stulecia był to dla apostołów „pracy organicznej” przełom, wymagający dużo śmiałych wysiłków adla społeczeństwa bardzo ciężki. Ostatecznie jednak, uznana zarówno przez żywo postępować jak zachowawców, przyjęła się ona i stała niemal głównym przykazaniem życia.

Żaden z jej wyznawców i obrońców nie obiecywał szybkiego następstwa wielkich dobrodziejstw, adolonych zadowolili całkowicie też niecierpliwość, która była zamięnną cechą naszej natury. Nikt nie przepowiadał, że „praca organiczna” natychmiast obleje nas morzem szczęśliwości, w której będziemy się kąpać rozkosznie. Chociaż więc ostatni dwadzieścia lat o kreścy rzeczywistość pomnożyła dobrobi nasze we wszystkich dziedzinach życia: rozwinęła literaturę a zwłaszcza prasę, skierowała myśl ogółu do poważnych zagadnień społecznych, nadała większy ruch życiu ekonomicznemu, rozprawiła zamknięto w szcypłym ostrokołe przesądów żywoły po różnych sferach pracy, dotąd przez nie wgarzanych, chociaż — co było również olbrzymią korzyścią — odciągnął wyobraźnię narodu od lotów fantastycznych w krainę obcego miłosierdzia i od przyznoszenia statmąd miodowych złudzeń — duch tego okresu, nietworzący cudów, spowaszechniał, stracił urok i wpływ. Zwłaszcza gdy niezależnie od niego czyniki zmroziły owoce wielu usiłowań, gdy prątem powstały inne prądy, za-

częto upatrywał innych gwiazd przewodnich.

Pierwsze uderzenie w zasadę „pracy organicznej” wymierzili socjaliści. Jako oparta na podstawach istniejącego ustroju, nie mogła ona naturalnie pozyskać sympatyj ludzi, którzy pragną przedewszystkiem burzyć wszelkie stare fundamenty. W powąnionych tych rozprawach i lekkomyślnych a często brutalnych napadach rzucali oni z Gienewy i Paryża papierowe pioruny w „organiczników,” gromiąc lub wydrwiniwając ich „burżuazyjne nawyki (1).”

Od socjalistów, nie wiedząc o tem lub nie przyznając się, pożyczali broni nasi konserwatyści szarego kołosa, którym szło o strzelanie ciekawek do „warsawskiego pozytywizmu” i wszystkiego, co on zrodził. Na kartach piśm i spod piór, które dla smadu zgody ze swem stanowiskiem nie powinny były dopuszczać się bluźnierstwa przeciwko odmawianiu społeczeństwa od szaleństw i nakłanianiu do rozwoju wewnętrznego, płynęły potoki czernidła, obryzgując „program pracy organicznej.” Narosło czerwona pręda: kądzieli Marxa wplotła się w tkaniny klerykalno-szlachecko-zachowawcze, tak że dziś widzimy ją nawet we wzorach ultramontañskich ornatów, a osmieliły tem i den z dzienników warszawskich z buńczucznością nawinością zawyrokołał, że „praca organiczna,” ogłoszwszy awą upadłość, ze zgrzyotem umarła i zasługuje już tylko na sztycherzy nekrolog.

Jetełi to ma być wierny odgłos rzeczywistości, można zapytać, czy ci nasi „politycy” w pogoni za nowymi „programami” nie pogubili klepek z głowy. Bo czy podobna wyobrazić sobie zdrowy, oświecony, nawet tylko rozsądny naród, który by między graty i rupiecie wrzucił zasadę „pracy organicznej,” to jest pracy nad rozwianiem swych sił umysłowych, moralnych i materialnych? Naród taki należałoby okryć dachem i szianami jednego budynku i powierzyć go opiece Jana Bożego. Tak zło u nas nie jest — ogół stoi na st. o-wisku, jakie sąjał przedkilkunastulaty, fa-

cie. Zwróć oko na Motruncę, ona ma krywną na wsi... Pewno im nosi...

Naprzód! Nigdy się nie zdobył na to, żeby Samotę, Ociekowieca lub Dubniskiego wyrzucić za drzwi, pomimo iż przez pieg lat poznał na wyłot ich charakter niski i przekonał się niejednokrotnie o usiłowaniu szkodzić mu potwarzaj i plotkami. Ze swoją delikatnością stworzony był na wyzyskiwanego. Zbytek rozwagi krepował i osłabiał wolę jego, chociaż podniecał często przez zniecierpliwienie. Tylko bezpośrednia obraza lub krzywdy zdolne były pobudzić Żurbę do wybuchu.

II.

Miał dwadzieścia pieg lat, gdy na wzwianiu wuja swego „podziękował za obo-wiązek” księciu. Opuścił Samotę i Ociekiewiczów, uradowanyh w duszy, choć zasmuconych z twarzy. Odjechał z „Josiej jamy,” pozostawiając piaszynie i dom z haladziwym, własnego pomysłu kominkiem, z ogródkiem i plotami, Motruncę na dziedzińcu z fartuchem przy oczach, i mogilkę dziecięcą na pagórkę, z bielejącym krzyżkiem...

Wuj Żurby, nazwiskiem Rokiciński, stary kawaler, posepny wolnomularz, po-

wołał go do siebie, bo czuł zbliżający się koniec. Mieszał nad Płyczą, w Targówku, w folwarku darowanym mu przez księcia Gandziwilla za zasługi. Gandziwilla księżna przyniosła w wianie księciu Wirszaję klucz do dóbr, w których skład wchodził niegdys i Targówek. Ktoś, chcący zaszokować Rokicińskiemu, czy może zemścić wyrzód, pusił pogłoskę, jakoby aktu darowizny, wniesionego w księgi notaryalne, nie posiadał. Pełnomocnik, schlebający księciu Wirszaję, namówił go do wytoczenia procesu o nieprawne władanie. Magnat swym palcem złotym nacisnął sprężyny urzędów sądowych. Machina, złożona z ludzi o oczach i mózgach stepionych na statutach, puszczona w ruch, groziła zgrzybielomu starcowiznieniem... Stąd to Jana Żurbę, najulubieńszego z siostrzenic, wezwał do siebie i poróżnił mu prowadzenie procesu. Prowadził go dobrze i wyanalizował w grodzie akt darowizny, wygrał sprawę w sądzie z księciem. Drobną szlachta i mieszczaństwo, nieraz już gnębieni przez magnata, winszowali mu zwycięstwa. Pan apłował do senatu, ale i tam przegrał. Tryumfował Żurba całkowicie, wywołując adumienie w nawykłych do powodzeń księcia.

Proces włókł się trzy lata, przysporzył

Żurbie głębszej znajomości prawa i postępowania sądowego. Był wżnym wypadkiem w życiu jego i niespożytym przedmiotem do opowiadania. Rokiciński umarł, nie doczekawszy końca i zapisawszy siostrzenicę swą godła wolnomularskiego oraz ksiątki, tohnąc duchem demokratycznym... Targówek miał trzysta włók ziemi i trochę lasu, a spadkobierców zjawilo się mnóstwo. Jak psy do kości, tak różne „po-cioty” Żurby rzuciły się na spadek. Rozszarpałi, podzieliłi na tyle drobnych sched, że każda włók jednej nie wyniosłaby. Żurba sprzedał swoją włókę jednemu ze spadkobierców. Dostał za to kilkadziesiąt złotych. Gdyby mu wuj był nie dła „ciepłą ręką” jeszcze, jako ulubieniecowi swemu, dwóch tysięcy złotych, musiaby znnowu pójść na służbę. Niktby go nie przyjął w całym powiecie, wiedząc o procesie z księciem. Wieści o Żurbie, roznoszone i roznuduchowane przez poohlebów szlachtych, troszczących się o własny byt, były pełne kłamstw, przesady, złości lub głupoty.

— Sasiedzie kochany! chciałbyś Żurbę przyjąć na oficjaliste? Ależ na rany Chrystusa, to pieniaż...

— Oo? Nie może być? Pierwazy raz slyszę...

brykanci „nowych programów” wielkiego powodzenia nie mają, pomimo że obcieli i wydzierali szatandar, dla którego chcieli wzbudzić powszechną niechęć.

Najwnioślejszą ideą, przepuszczoną przez pytel nieaforyzowanych języków, wyszła się z nich jako niedorzeczność. Z klasycznego epikureizmu zrobili to pytle rozpustę i zbytek, z cynizmu — ohydny bezwstyd, z chrześcijaństwa — tyranję; coż dziwniejsze, że skromna idea „pracy organicznej” u nas zamieniona została na program, mający służyć do zubożenia milionami jednostek kosztem mas! Najłatwiejszy to sposób pokonania jakiejś zasady za pomocą wystrzyżenia z niej brodni własnego pomysłu. Żaden też z prostujących sięśkieci narodu nie zajął do źródeł, z których potępiany przez nich pąd wytrysnął, żaden nie zaozernął i nie rozebrał prawdziwej jego zawartości, lecz analizował swoją sline pod imieniem odzogo mózgu, wykrywając naturalnie pierwiastki szkodliwe. Tymczasem dość przeczytać wszystkie określenia pojęcia „pracy organicznej”, ażeby usnąć, że w nich nie miało się recepta na smarowanie tłustych polciów przemysłowych, lecz pobudka do wszechstronnego rozwoju duchowego i materialnego, że ów lud, który dostarcza szamponnych kokard i przepasek ryeczom nowych programów, był w planie „organizmików” postawiony na czele staruch. „Salachta polska — pisaliśmy kiedyś w artykule streszczającym dążenia wznawców „pracy organicznej” — wypowiedziała już ostatnie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Mam nadzieję, że gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświeceniu, wywrze głęboki i dodatni wpływ na przyszłość kraju. Z tej rudy stronnictwo postępowe u nas spodziewa się wykipięć najwięcej szlachetnego kruszu... Samodzielność może być tylko wynikiem wzmożenia sił umysłowych i materialnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, ekolojarzonego z postępek ogólnym, oraz demokratyzacji społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki niezbudzone i niedojrzałe.

— Dowiesz się więc, kiedy pierwszy raz alyszal Trzy lata prawował się z księciem! Oż ty na to?... —

— Hm, widocznie musiał!

— Ah! musiał — ciągnął dalej posiadacz ziemi, zapalając się — musiał! Ależ, dowiedz się, z kim!

— No, z księciem...

— Z chlebobdazog swoimi — przesyłabował ze zgrozą.

Sąsiadowi twars się wydłusa, oczy zwiększają się, nieruchomieją, odbijają zdziwienie, smieszane z trwoga.

— Skoda... Widziałem go onegdaj u Hreczechy. Dawniejczy nadleśniczy księcia, Dobrogozdki, zachwał mi tego chłopca. Podobal mi się on... Wiesz, następcą mi się z urządzeniem w lasach moich smolarni. Powiada: pocięz ziemie, w których pan smoleg pędzi, są niepraktyczne — jaby panu zbudował smolarnię wedle systemu amerykańskiego.

Żurba, naczytawszy się swej „Technologii”, ciagle nosił się z tą myślą.

— Taki miabyż go po, użył, jak książe! Sąsiadowi ochota odpudła. Jak powiast szeroki i długi, wszędzie w ten sam sposób gadano.

Taka moe, takie ustawiczne natężenie energii, taki ruch postępowy jedynie może utrzymać żywotność narodu i zapewnić mu rozrost.

Po kilkunastu latach rozważań i doświadczeń jest to i dziś naszą wiarą, naszym przekonaniem. I dziś, jak wówczas, zasadę „pracy organicznej”, zasadę wszechstronnego rozwoju wewnętrznego uważamy za pierwsze u nas przykazanie rozumnej polityki i socjologii. Ci wszyscy, którzy przeciw niej waloczy przywdziewszy rozmaite szkaplerze, nie wnieśli do społeczeństwa ani jednej nowej myśli, żadnego programu, tylko paląc dziennikarską słomę narobili dymu i swędu, językami zaś — wrzawy, która podtrzymuje doskonale zamęt, ale nie wskazuje drogi.

ZNOWU!

Kraków, 11 stycznia.

Przed paru miesiącami pojawiła się w jednym z pism tutejszych długa odezwa, nadziana cytatai z obcych języków, naroszona przetykami Bismarkowi i przeciw innym głośnym osobom oraz rozmaitym narodom. Po długim i mistycznym wstępie, przypominającym spożycie myślenia emigracy z przed 50 lat, oznajmia powyższa odezwa, iż „oto 500 lat mija kiedy polskie polscy w styczniu 1386 roku jebali na Litwę po Jagiellę — w lutym jego chrzest i ślub z Jadwigą, a 4 marca koronacja na polskiego króla. Od tego czasu poczęła się dla nas wytwarzać myśl dziejowa”, jakiej żadna nie dorównała nigdy. W rezultacie odezwa proponuje jubileusz: „Rzeczywistość godziwa nie tyle ten, co je rozumiemy, lecz ten, kto je kocha i czci. Zakładamy się tedy około wielkiego jubileuszu wszyscy prostaczekowie i szlachetnicy jako stronnictwa, lecz jako naród.” Ze Kraków bez jubileuszów i komitetów żyć nie może, to zdawna wiadome, ale to dziwniejsze, że odezwa wyszła od młodzieży, i to młodzieży stojącej po za wpływami światłego duchowieństwa i świetnych władz akademickich. Będziemy więc mieli jubileusz, komitet jest, składki pewno wnet się otworzą. Będzie cała maszyna do wielkiego kiwania palcem w bucie, będą się

ludzie cięszyli, że posłowie akurat pięćset lat temu jebali po śniegu na Litwę, będą się całowali i modlili, bo są u nas tacy, którzyby nie spali spokojnie 4 marca, gdyby bodaj jednej bomby jubileuszowego piwa za „spokoj dnozy” króla Jagielly nie wypili. Gdy im się ułży, gotowi apad drugie 500 lat w przeświadczeniu dokonanego dzieła, żeby doczekać się 1000 letniego obchodu tej samej chwili pamiętnej. Jakż związek przemyślowy może łączyć całą naszą smutną dolę galicyjską z potrzebą uroczystego przypominania światu chrztu Jagielly? Chyba ten sam, jaki istniał w głowie Dickensowskiego staruska, który słysząc noderzenie godajny dziesiątej również zapiał, wzruszony myślał, iż wówczas, kiedy dzieckim leżał w kołysce niewątpliwie musiała również bijad godzina dziesiąta! Wielka zaprawdę jest moe wspomnienia. Ale i w przyszłości umie poglądać odezwa mówiąc: „Przyjda dzień, w którym w imię ludzkości, cywilizacji, w imię zwycięstwa prawdy nad niesprawiedliwością potomni zapytają się: Czy przodkowie rzeczywiście mieli prawo do bytu?” Na sześćseto jubileusz zamknie usta ciekawym ludziom w owym dniu przyszłości.

Czyż wobec tego ważnego przedsięwzięcia ta biedna, opuszczona i zadłżona jak wdowa Galicya może mieć pretensje do inicjatorów jubileuszu, iż sity, gorsz czas oddali ozi dawno zmarłych mocarzy ze strąta żywych a nędznych współobywateli? Nie, chyba tylko cianąć im może w oczy wyrzut: Nieoprawni! A ci nieoprawni to młodzież krakowska, chluba kraju. Ta młodzież zgadna wiecznie ruchu i czynu — musi chwytąć się niepiędných robót, bo strażnicy moralni zamknęli jej wszystkie drogi do istotnej pracy publicznej — zabrali jej prawo wypowiadania myśli w sprawach realnej wagi, w obawie by nie zerwała się do samodzielnego życia. Siły duchowe młodych muszą jednak szukać sobie jakiegoś ujścia i rozpięzają się po obszarach płonnej entuzjazmu.

W. P.

SPRAWY EKONOMICZNE.

GOSPODARSTWO WÓDCZANE.

Nowe przepisy o handlu wódką, wprowadzone w Cesarstwie, zawierają wiele

Kiedy Żurba chciał z ojcem folwark u którego „obywatela” wydzierżawić, ta sama nieufność szkodziła mu. Aż w końcu wziął w dzierżawę wieś, położoną nad jeziorem Kniasz czyli Żyd, a Żydówkami zwana. Sto chałup niskich, zapadających w ziemię, przegladając się w sieni toci tego jeziora, które swemi falami pukało kilka mil brzegów i w ryby wszelkie bogate było... Panoszyrena jaszczka kwitła wody w kraju, robotników starczyło, więc gospodarka na żyznej glebie szła nie zło, czasem nawet dobrze.

Żurba wtedy liczył dwadzieścia ośm lat, miał zarost na twarzy nie bujny, coło zwiększone ubytkiem włosów, z pod szczupłego waga wyglądały karstalne usta, okraszono umiśchem prostodusznym, dziecinnym, pod gostemi brwiami pały się pewno i harde czarne oczy, a między nimi rozdymał się nos orli, długi.

Była u dziedzica nauzoicycla, świeżo z pensyi wzięta. Miał lat siedemnaście, a nazywała się Pelagia Kniściańska. Skromnością tchnęła ta dziewczyna i posiadała twarzyczkę ładną, a z oczu błękitnych wzdętek przykuwający i poważną. Tłkliwość wielką i słabą budowę ciała po matce odziedziczyła. Trudniła się lekcykami muzyki i języka francuskiego.

Od pierwszego wejścia wpadła w oko Żurbie. Odmazał on się nieśmiałością względem kobiet z uprzywilejowanej klasy i dużo cierpiał, zanim uzenie swe wyznał. Pelasia go przyjęła, bo niezuwała dość skłonność i była sierotą: matkę z suchot ojca z zapalenia płuć utraciła. Pobrali się wczelnie. Otdąd Żurba czuł się skończonym człowiekiem. Szczęś lat w Żydówkach spędził szeregoryły i doczekał się trójga dzieci. Gospodarkę prowadził opieszale, z niezadarsnością wielką, odkładając sprawę na później. Skąd w oczach dzierżawców zabiegających i ekonómów sprężytych nuchodził za „dojutrka” i „ciemięgi” — Żurba bawił się w miłość bliźniego — mawiali o nim — chemskie skóry oszedzał.

Rzeczywiście, nie potrafił, jak należało, wysysać potu i krwi chłopskiej. Robiono mu uwagi, że miaby więcej dochodu, gdyby „poletków” ciałych nie zostawiał wiecznym ugorem, lecz sumiennie wyzyskiwał wszystkie lat robocze chłopca. Na próżno — nie posiadał „sprężytości dzielnych gospodarzy”; miał dostatek, lecz majątku nie robił. Wiesz, gnębiona przedtem przez ekonómów, dawała się miękkości „lacha”, podrywając akrycie, lecz i wnieczna mu była, że wolniej oddychała. W ciem-

postanowić, zmieniających dotychczasowe warunki sprzedaży napojów wysokich. Urzędy trunkowe (pitiejnoje prusiatwie), złożone z przedstawicieli władzy i organów samorządu miejscowego, mają prawo regulować ilość szynków, wydawać pozwolenia lub odmawiać patentu dla sprzedaży wódki. Oprócz tego przepisy nowe reformują karzącą rosyjską (kubak), dzieląc wszystkie zakłady na dwie kategorie: zwożące szynki mogą sprzedawać wódkę tylko w butelkach, trakteryom zaś, które korzystają z pewnych przywilejów, wolno ją zbywać na miejscu. Ponieważ termin dzierżawy propinacji Królestwa kończy się w całym kraju 13 stycznia 1886 r., właściciele majątków i propinatorzy, nie otrzymując żadnych wyjaśnień, niepokoiли się pytaniem: na jakich zasadach odbywać się będzie handel ostateczny wódki w przyszłości?

Niedawno dopiero Izby skarbowe otrzymały zawiadomienie ministerstwa o zmianach, jakim ma podlegać propinacja w Królestwie. Przepisy te nie znoszą jej bynajmniej, wprowadzają jednak pewne zmiany, dosyć ważne dla właścicieli ziemskich. Prawo propinacji na gruntach włościańskich wydzielanie będzie na lat trzy, nie zaś na sześć, jak było dotychczas. Przywilej, z którego korzystali właściciele ziemscy, otrzymujący propinację na zasadzie deklaracji i bez kaucji — zniesiono. Do przetargu stawą mogą wszyscy ci, którym na zasadzie ustawy akcyznej odzwolono zajmować się we wsiach sprzedażą trunków. Żydowi ani propinatorom, ani szynkarzom bezwarunkowo być nie wolno.

Licytacja odbywać się będą nie pojedynczymi wsiami, lecz majątkami, mającymi oddzielne księgi hipoteczne, chociaż w skład ich wchodziło kilka wsi, i zaczyna się od ilości t. z. dochodu normalnego, wyliczonego szczegółowo. Mianowicie we wsiach, znajdujących się przy stacjach kolejki żelaznej lub przy drogach szosowych 1 i 2 rzędu, po 4 ruble za każdą osadę, zapisaną w tabeli likwidacyjnej; w miejscowościach położonych traktami — po 3 i w innych po 2 ruble za osadę. Norma podwyższa się o rubla, jeżeli jest we wsi urząd gminny i o tyleś, jeżeli jest kościół; podwyżka ta jednak stosuje się tylko do 30 osad. Dzierżawca winien złożyć kaucję w wysokości półrocznego czynszu dzierżawnego, której zwrot następuje dopiero po 3 latach. Jeżeli pierwsza licytacja nie dojdzie do skutku, następuje rozprawa się od cen niższych.

Wzrost masek kmiących budził Żurba bojaźń tajemniczym sposobem leczenia zmian, włościkizny i ukąszeń żmij. Spracowane i pomarszczone chłopki błogosławły go za leki, sporządzane wedle przepisów „Lekarza wiejskiego.”

— Niech tobie Bóg najwzjaższy szczególnie daje za twoje, panio-głębki, rady dobre, za twoje słowa pociechali. Niech twoje dzieciaki rosną szczególnie i zdrowo, jak debry, co po borach szumią, za to, żeś ty od mętów naszych, i dzieci, i dobytek naszego chorobie popodpędził... Tyś ojciec nasz, żyj długo lata, ta dobra nazywali.

Tak żony kmiące modliły się dziecięcznie do Żurby za eszary i rumianki od żółdków, za maści różne, sok piolnowy, macierzankę i inne zioła. A głosy ich były pięknie i ochryple od rodzących się cierni piersiowych, twarze żółtko, pomarszczone, zbolałe i z troską wieczną... Padaly do uóg, całowały ręce Żurbie, słońce jego i dzieciom, wydobywając z szanadza jaj, kury i orzechy.

— Nie łaćcie, nie łaćcie — mawiał opryskliwie, cofając ręce. Jam nie ksiądz.

Pan dziesięć skrzywdził Żurbę, Pragał sam gospodarował, starał się więc wycofać folwark z dzierżawy. Szukał sposo-

Nowe przepisy mają więc wyłączenie charakter fiskalny, jakkolwiek, zanim ogłoszone zostały, nadawano im znaczenie doniosłej reformy. Karzema nie zmieni bynajmniej swego typu i najmniejszego ograniczenia pijanstwa nie sprowadzi. Prasa rosyjska poddaje też mniemania reformę surowej krytyce, w której też wodzą *Moskowskija Wiedomosti*. Organ p. Katkowa zarzuca ministerstwu skarbu, że świadomie rozpaja i demoralizuje ludność, na co przeciwna strona stosuje się do odpowiedzi, że akcyza stanowi trzecią część budżetu wpływów, że deficyt chronięcy wymaga nowych źródeł dochodu, które tylko w szynku znaleźć można, zdolność bowiem płatnicza ludności jest już zupełnie wyczerpana. P. Katkow znalazł jednak radę, w której oba te sprzeczne dążenia pogodzić się dadzą za pomocą monopolu państwowego w handlu trunkami. Monopol taki istniał kiedyś w Rosji i doprowadził do tak opłakanych rezultatów, że zniesienie jego uważano za jeden z ważniejszych czynów panowania Aleksandra II; dziś wszakże powrotna fala uderza tak mocno, że nie tylko wkrzeszenie t. z. „odkupu,” ale i ustanowienie instytucji szynkarzów przysięgłych, urzędników państwowych, którzy istnieli przecie za czasów Iwana Groźnego, wydaje się może prawdopodobnem, zwłaszcza jeśli dodamy, że monopol państwowy handlu wódką wprowadza obecnie Bismark w Niemczech.

Dienniki poznańskie witają żywcem projekt kancelarza, odnajdując w nim także nawet cele, o jakich zapewne rząd niemiecki nie myślał.

W Niemczech dochody normalne nie wystarczają również na pokrycie wydatków i nie mniej trudno wyszukać nowych źródeł. Monopol zaś obiecuje państwu 185 milionów marek czystego zysku, pokusa więc jest zbyt silną, żeby jej się oprzeć, zwłaszcza że interes tej warstwy narodu, którą rząd opiekuje się, t. j. właścicieli ziemskich, skorzysta. Następcem monopolu bowiem byłoby podniesienie cen spirytusu i ziemniaków i, co ważniejsze jeszcze, zapewnienie dochodu stałego i pewnego. Inne jeszcze względy, o których szczegółowo mówić nie będziemy, czynią projekt monopolu dla właścicieli ziemskich pożądanym. Wprowadzenie jego w Niemczech wpłynęłoby i na nasze stosunki, gdyż utrudniłoby znacznie kontrabandę, jeżeli rząd pruski nie zamierza prowadzić jej na własną rękę. Ale nie możemy zgodzić się na zdanie *Diennika poznańskiego*, że projekt ma także na celu podniesienie

moralności i zdrowia ludu. Czy „wolna,” czy „normowana” karzema, będzie na zawsze siedliskiem zepsucia, używanie zaś alkoholu w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób jest równie dla zdrowia jak i dla moralności szkodliwym. Podniesienie ceny spirytusu nie zmniejsza wcale pijanstwa, może ono ograniczyć spożycie trunków przez ludzi rządnych i oszczędnych, którzy wyrzekną się kieliszka wódki przed obiadem, ale nie wpłynie na pijaków nalogowych. Dotychczasowe spostrzeżenia i cyfry statystyczne dowiodły, że pijanstwo nie idzie wcale w parze ani z ceną wódki, ani nawet z ilością spożytego przez całą ludność kraju alkoholu. Ciągłe podwyższanie akcyzy w Rosji nie zmniejszyło bynajmniej pijanstwa, sprawiło tylko, że spożycie doszło do pewnej ilości, od której nie odstępuje pomimo wstępującej ceny trunków. Istnieje więc pewna norma spożycia, określona zarówno potrzebą jak i namiętnością, na zmianę której podwyższanie ceny wódki nie wpływa, jedynym zaś jego rezultatem jest tylko zubożenie ludności. Pijak będzie ruinował się, będzie kradł, leżeć nie przestanie. Nalóg zwalczać należy w inny sposób, wszelkiemu jednak oddziaływanu w tym kierunku monopol państwowy stoi na przeszkodzie. Niepodobna bowiem jednocześnie i stałe zmniejszać spożycie alkoholu i zwiększać dochód. Skarb i właściciele ziemscy mogą korzystać z monopolu, ale właśnie interes ich w tej sprawie jest wręcz przeciwny moralności i zdrowiu ludu. Trudnem stało się również na często niemożliwym oddziaływanie przeciw pijanstwu, które otrzymują niejako uwiecznienie od państwa, nie mówiąc już o tem, że monopol handlu wódką w dzisiejszych stosunkach poniz władzę w oczach ludności. Handel wódką nie jest ani trochę lepszym od utrzymywania domu gry, jak to czyni książę Monaco, lub domów rozpusty, które przynosiłyby ładny dochód królom neapolitańskim. Ale nas, zresztą, nie obchodzi to wcale.

P.

LISTY KRAKOWSKIE.

11 stycznia 1886.

Dnia 1 grudnia 1885 roku podczas obrad sejmiku galicyjskiego w sprawie dostaw wojskowych dla armii, poseł Maciński po-

chwilił radosnych. Żurbinie łązy w oczach stały, a dzieci zanosiły się od płaczu.

— Nie płacz, Zosiu, kotku — uspakajają matka głosem przeszywającym — wróćmy jeszcze do Żydkiwicy.

Dzieci uśmiechały się przez łzy, uspokojone.

Chłopki kiwali głowami, mówią między sobą:

— Dobry był „lachl.” Wygnali go, opętani! Gadali.

— Już tak, jak ów mówił...

— Ojciec nam teraz będzie!

— Oj, nastanie ci teraz na nas sądny dzień!

— Ekonom pasami skórę będzie chłopacki drzeć.

— I ubiorą w nią siebie i dzieci swoje... He, he, he!

Tak się skończył dzień żywota niezaleśnego dla Żurby, czekała go znówu dola oficyalisty.

(D. c. n.).

Z. (Komar) Piethiewicz.

ruszył energicznie i śmiało kwestyę t. z. sporyszową, która następnie głosem echem rozległa się w Galicyi, oparla się o Wieda i przyczyniła do wykrycia nadużyć nie zbyt oczyjstej natury. W sierpniu r. z. krakowska intendencja wojskowa rozpięła ofertę na dostawę żyta do magazynów wojskowych w Krakowie, Tarnowie i Przemyśle. Dostawy podjął się dom komisyjny banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu w Tarnowie, a ministeryum wojny warunki jego zatwierdziło. Pierwsza wyszła zboża w ilości 500 centnarów metrycznych przybyła do Krakowa we wrześniu; komisja intendencyj wojskowej odebrała żyto, lecz oświadczyła, że na swą odpowiedzialność przyjąć go nie może, ponieważ znajdują się w niem drobne ziarnka sporyszu — oraz, że odwołać się musi do ministeryum wojny. Odpowiednie organa ministeryalne zabraly się do roboty, wynik jej był zgubny dla przedsiębiorstwa, gdyż w życie, według zdania komisji, znajduje się za wiele sporyszu — mianowicie mogłoby się go znajdować, tylko 357 ziarnek a jest go 760,000." Słusznie zaznaczył poseł M., iż dla matematyków 12 oddziału ministertwa wojny należy być z całym respektem. Obliczyli oni bowiem dokładnie, że tylko 357 ziarnek sporyszu w 500 workach żyta znajdować się może! Gdyby choć 500 ziarnek — po jednym na każdy worek — ale nie, tylko 357! Dom komisowy sprzeciwił się ze słusznym przyczynem temu orzeczeniu. Przeto ministeryum wojny nakazało badanie nowe na miejscu. Najstraszniejsze poszukiwania i to w najniekorzystniejszej przypadku wykryły 214 gramów w 100 kilogramach owego żyta. Jest to więc 0.214 procent. Mimo to następna odpowiedź ministeryum oświadczała stanowczo, że według opinii znawców wojskowych dana domieszką sporyszu jest dla zdrowia szkodliwa, przeto o przeprowadzeniu przedsięwziętej dostawy mowy nie ma. Równocześnie zaś zarządziło sprowadzenie mąki z Węgier do Galicyi. (Dlaśnego mąki, nie żyta? Ażebym uniknąć niemiłego w tym razie porównania wartości odrzuconego żyta z węgierskimi. W mące zaś wynależ, iż zawiera ona mniej sporyszu niż zmieszone na mąkę galicyjską żyto — to za trudne chyba nawet na owo ministeryalne biuro, umiejące wyszukać 357 ziarn sporyszu). W ten sposób firmy wiedeńskich kupców ogarnęły dostawę dla galicyjskich żołdów — a Galicya, sławna ze zboża, została odepchnięta, osadzona nakoszu z zapasami, których wywieźć w całości nie może, bo murem stoją w koło ciała i taryfy, a sprzedać u siebie jej nie wolno, bo ministeryum zabrania. Wobec takiego faktu położenie stało się iście rozpaczliwe. Skoro żyto nasze, znakomicie na walosach oczyszczone, jest szkodliwe dla zdrowia — to cóż mówić dopiero o plosnach gospodarstw włoskich, licho wyplonących, niedbale oddzielonych od przymieszek a zmieszanych na ręcznych, pierwotnych żarnałch!

Śmierć, śmierć z każdego zakątka lada dnia wyrzecz musi i wolnie monarchie od bierniej ludności *Bavarii*, Rojnicia, straszańska choroba nagminna, wywołana sporyszem, może polozyć kres wszelkiemu życiu ludzkiemu w Galicyi — przywracając potworną grozę średniowiecznych kłęk „ogniowej niemocy“ i „ognia św. Marcego“. A przecież jak Galicya — Galicyą, rojnicz (ergotismus) nikt u nas nie widział, nikt nie chorował od naszego chleba — owszem dużo germańskich darmoządów, próżnych troski o zdrowie, ciągnęło i ciągnie na ten chleb nasz, ergotyną rzekomo zatruty.

Wyjaśnienie tej sprawy stało się punktem narodowego honoru i koniecznego zapobieżenia ekonomicznej klęsce. Z jednej strony najlepsi znawcy wśród posłów sejmowych zajęli się wykazaniem, iż nie zbyt płatnicze pobudki wpłynęły na surowo osądzenie próbek naszego zboża, oraz, iż

liczne nadużycia działy się i dzieją przy oddawaniu dostaw dla armii; z drugiej zaś — naukowo powagi podjęły umiejętne kwestyę sporyszową. Za normę przyjęto najwyższy procentowy wynik badań powyżej wspomnianych, a wolnych od wszelkiego podejrzenia, t. j. 0.0214%, bo okazało się, iż to sposoby, których pierwotnie użyli znawcy wojskowi w Tarnowie, były już jakoś osiwo zawadne i niegodne uwagi a jeżeli nie dawały niezbitego oznaczenia stosunku — nie były ilościowe. Prof. uniwersytecki krak. Rostański przytoczył orzeczenie dwóch znakomych lekarzy wojskowych niemieckich, którzy twierdzą, że 1/2 sporyszu jest naturalnie nieszkodliwy." Prof. uniwersytecki Radziszewski również uznał 0.0214% sporyszu za nieszkodliwy; ten godniejsza zaś uwagi jego opinia, że w roku 1882 wzywano przez sąd karny do orzeczenia o wartości pewnego zapasu mąki, znalazł 0.03% (i to w mące a nie w zbożu, które przecież z otrębami traci część przymieszki) — i że załoga karmiona tak ocenioną mąką najłżejszego uszczerbku na zdrowiu nie poniosła. Nakoniec wydział lekarski uniwersytecki w Jagli, w bardzo długim wywodzie naukowym stanowczo zaprzeczył, ażeby 0.01—0.02% sporyszu w mące (a nie w zbożu) nawet przy długim użyciu mógł być szkodliwy. Tymczasem i w sejmie rzecz bliżej została rozjaśniona słowami namiestnika Galicyi, który jako przedstawiciel rządu oświadczył, iż zarządy wystosowane przeciw administracji wojskowej, że przez zakupno obcego zboża działa wbrew rozporządzeniom ministra wojny z 7 listopada 1885, są sprawiedliwe i „że tu i owdzie zachodziły pewne nadużycia ze strony organów wykonawczych, które surowo zostaną ukarane."

Tak więc w niedługiej przyszłości — spodziewać się godzi — rolnictwo galicyjskie uwolnione zostanie od ciężkiego zarzutu, jaki padł na nie. Liożyć na to można, mimo hańsliwego wrzasku, jaki podnoszą polakotercze pisma wiedeńskie, które uderzają w dawon alarmu i dopatrują w sprawiedliwych i szczerzych krokach galicyjskiego sejmu zamach na godność ministra wojny. Szczęściem, zbyt wyraźnie przez diury tej politycznej latarni widać chciewi grozba postacie rumunsko-wiedeńskich królów zbożowych.

LITERATURA I SZTUKA.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Zofia Urbanowska. *Kejzniczka*, powieść uhonorowana nagrodą konkursową. Warszawa, Gebethner i Wolff.

W roku 1882 przełożone zakładów prywatnych żeńskich m. Warszawy powołały myśl uczczenia pamięci Pauliny Krakowskiej przez wydawnictwo jej imienia. „Za jedno z potrzebniejszych uznano dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiającego obraz dziewczęcej i wóz dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagaj zdrowo pojmanowego postępu... Kobieta przedstawiona być miała na polu własnego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, miała posiadać wady i ułomności bądź wrodzone, bądź z wychowania, bądź być szkodliwym wpływ pochodzące, ale ideać przez życie nie wyjątkowe lecz powszednie wiarna nęczy się, jak pojmanow swoje obowiązki itd."

Komitet konkursowy, ogłaszający ten program razem z powieścią, uczynił wszystko, co mógł, aby wartość jej artystyczną obniżyć. Pani Urbanowskiej przesyłał się on tak, jak nauczyciel malarstwa, któ-

ryby obok pięknego obrazu swego ucznia — umieścić wykrośloną przez siebie perspektywę tegoż malowidła. Wówczas, patrząc na „rozłam cherubina, myśli się mimowoli: „Rozumiem, to kółko z trzema krokskami!"

Autorce wprawdzie udaje się niekiedy siłą talentu zatrzeć w czytelnikach pamięć kresek i kółek komitetu; na krytykę jednak wkładają one obowiązki podwojny: *Kejzniczka* musi być oceniana nietylko, jako utwór sztuki, ale — równa jestli nie z większą siłą — jako obraz pewnych dążeń, jako dzieło *wychowawcze*. Wobec zamierzonego w niem wcielania ideałów społecznych i „zdrowego“ postępu żadna ocena nie zdołałaby zapewne utrzymać się na gruncie czystej estetyki.

„Obraz dziewczęcej“ zjawia się tu w postaci panny Heleny Oreckiej — córki podupadłego i coraz bardziej upadającego szlachcica p. Marcina, którego „Spółka rolników nad...skich“ zrobiła agentem naszym w mieścieku M. nad Wisłą. Ojciec Helenki jest takim wzorem biernej zamożności i niedołęstwa, jakie spółkowie można tylko wśród dogorywających dzisiaj miedobitków szlachetystów, pozabawieni praw wyjątkowych — podobnymi są co pnać się się rośliny, której odjęto podpórę; z trójkajkiej broni: korda, kielicha i różnaka pozostała im tylko ostatnia. Wyobrażenie przywileju stało się mytem i przybrało nazwę opatrności, od której ciemne i niedołężne umysły żądają też stałej i bezpłatnej opieki. W społeczeństwie piśmiennictwie naszym niema prawie ani jednego talentu, któryby typów podobnych nie przedstawiał. P. Urbanowska prześledziła drogę miała już utworzoną i dla tego może zapędziła się obojętnie za daleko: p. Marcina nie jest tylko niedołęga, lecz często skończonym idyotą. Żona tego szlachetliwego szlachcica odznacza się wielką dbałością o swoje nerwy i gorączką przywiązaniem do córki, która chce wydać za mąż, jaknajkorzystniej. „Jedyna córka państwa Oreckich miała w sobie po trochu z charakteru obojga rodziców. Z ojca wzięła nieograniczoną wiarę w ludzi i serce pełne współczucia dla ludzkiej niedoli; z matki wytworność, wrażliwość nerwową, niemal i wstręt do wszelkiego trudu,“ gdyż od dzieciństwa prawie „odsuwaną od niej trud wszelki...“ wychowaną jej brakuo zupełnie gruntu realnego. „O bliskiej ruinie majątkowej ojca nie wiedziała nie aż do chwili ostatniej. Gdy ta nadeszła, Helena postanowiła własną pracą podźwignąć z upadku dom rodzicielski. Psychologiczne uzasadnienie tych zamiarów widzi autorka w jej miłości do obojga rodziców. Pan Radlica bogaty przemysłowiec a zarazem delegat „Towarzystwa,“ który zjeżdża do M. dla odebrania ksiąg rachunkowych od p. Marcina — staje się duchem opiekuńczym bouatier. Wzwyższy ją z sobą do Warszawy, umieścił we własnym „kantorze nasion,“ jako skromną i skromnie wynagradzaną pracownicę. W domu p. Radliczego rozpoczyna się moralne odrodzenie Helenki. Jeżeli przebieg tego odrodzenia przynosi zaszczyt psychologicznym zdolnościom autorki, to wobec otępienia młodej pracownicy nie daje dobrego świadectwa o zmyśle spostrzegawczym, i zbyt często ukazuje czytelnikom niezamalowane „kreśki“ komitetu konkursowego. Autorka zanadto gorliwie gromadzi „przeziwiości życia,“ pod wpływem których „młoda dziewczę“ miało się uzyć, „jak pojmanow swe obowiązki itd.“ Nie mówią o takich dolegliwościach jak „szare mydło,“ którym wszyscy mieli się myć w domu tak bogatego przemysłowca, nie mówią o *piernoszy* obiedzie (niedzielnym) na którym zars Helenka spotkać musiała i „swo obcowy“ i „kielbasę z kapustą“ — cała rodzina Radliczów — pomimo jej szlachetności — jest w istocie trudną do zniesienia gromadą katonów i katonek. Nadewszystko p. Ra-

dlizowa („wzór dojrzałej kobiety” komitetu konkursowego) grzeszy pod tym względem przesadą. Przed wyjazdem swym z domu rodziców Helenka była na jakimś balu w sąsiedztwie, gdzie, spotykawszy pewnego „łowca posagów”—zrobiła sobie z niego naprędce ideał. Po przybyciu do Warszawy poznała znów drugiego młodego mężczyznę—Radlicza—syna. Sprawił na niej straszne wrażenie, było mu miło—skończyło się jednak na tam, że go pokochała. Stopniowo wyrugowanie z serca bohaterki jej dawniejszego ideału i wprowadzenie tam nowego mieszkanka—jest najwymowniejszym świadectwem antorskich zdolności p. Urbanowskiej. Powołanie nowego uczucia, jego bezwiedne kielkowanie w sercu Helenki, jego walka z miłością dawniejszą i uprzedzeniem początkowem do bohaterki—nie pozostawiają nic do życzenia. Autorka umiejętnie wyzyskała wszystkie efekty i wpływy zewnętrzne, wszystkie „uczucia posikowe” miłości—często nawet ze szkoda niezbędnej logiki wypadków. Tak np. jakiś niepojętą chęć pociągała do życia Andrzeja (bohater) jest postacią przyjeżdżającą do opowiadania, ale, budząc obawę w sercu Helenki o to życie, stał się on niezbędnym czynnikiem, jak rozwoju tak i uświadomienia się jej miłości.

Po paroletnim pobytku u Radliczów, ku końcowi jej moralnego przeobrażenia—ojciec bohaterki został zagrożony licytacją ostatniego kawałka ziemi i domu, jaki posiadał w M. Nastąpiło to głównie dzięki jego nieopatrności i niedołęstwu, które gwałtownie tradycy przywykliśmy nazywać „dobrem sercem.” Oórka, zawiadomiona o niebezpieczeństwie, postanawia ratować rodziców. Wierzyteliem ojca i przyszłym nabywcą jego chłubny—jest niemiec—Ofman. Walka więc z nim przestaje być zwykłym estagiem o własność przywłątną i przybiera niejako charakter obowiązku społecznego, obowiązku, który spełniał i rozumieć nauczyła się Helenka u Radliczów. Wędrówka młodej dziewczyny po niesmiennych dłużnikach ojca—z próbą o spóźniecie jego miszeczności, bohaterki jej wysiłki w celu znalezienia obrony na drodze prawnej—służą autorce za tło ogólne nietylko do okazania zupełnie już rozwinętej i przetożonej dumy Helenki, ale i do wypowiedzenia szeregu społecznych i filozoficznych poglądów. Pod względem artystycznym ta część opowiadania obfituje w efektowne szczegóły i... naciągane sytuacje. Wszystkie uśłowienia bohaterki pozostają bezosobnymi. Zawiadomiony o ich przebiegu Andrzej pospiesza (?) z pomocą—w chwili, gdy katastrofa prawie się już rozpoczyna.

Pod względem tendencyi *Księżniczka* jest apoteozą pracy organizacyjnej—w przeciwstawieniu jej do polityki zbrojnego oporu, polityki, której zamierzającym już i abdykującym zresztą przedstawicielem jest stary i ślepy dziadek Radliczów. Młodsze i najmłodsze pokolenie tej rodziny—ucucia, przeciwnie, kierunek pokojowy. Radliczowie, ojciec i syn, matka i trzy córki są idealnymi wykonawcami tego programu (?), którym tak często miszeczność robiło i robi akcyo dobrze procentującej. Postawienie tej cichej walki na gruncie między-narodowym (Ofman) wyrażają zakreśla jej cele i czyni ją sympatyczną dlaż. Zaręczanie jej można było autorce, iż za mały nakład położyła na oświeć ludu. Mieszkańka na wal, najstarsza córka Radliczów postawia wprawdzie uzyć dwoje chłopskich dzieci, ale nie wcześniej jak kiedy ich ojciec (wspomniany wyżej niepojęt, chętny) na życie Andrzeja) spalił zabudowania dworskie, mierzając się za wydalenie go ze służby. Zakres działalności—za szepoty, podbiki jej—zakończony niewzruszenie, pora—spózniona. Niemniej na potopienie (ze stanowiska tendencyi) zasługują w naszych piśniach owa, słabość do przedstawiania w różowym świetle stosunków dworu do

chaty. Warcholstwo i wicherzycielskie dąności chłopów są tam zawsze jedynym powodem ich niezadowolenia. W obrazkach tego rodzaju przebiega się sławna nasza teoria „braku gruntu;” z podobnem jej wcieleniem nie po raz pierwszy spotykamy się już w tym roku (ob. powieść Wolowskiego *Był Zydem*).

Nakoniec—ponieważ powieść ta miała być podręcznikiem enoty—zwrócić tu uwagę na jedną jej wadę podługiczną. Autorka, potępiając przez cały czas lenistwo i zbytnią ufność w miłosierdzie boże, z niepojętą niekonsekwencją ośmieszca własny swój pogląd. P. Orecki, który w najkrótzym czasie chwili swego życia nie absolutnie nie robił—i tylko z uporem maniaka odmówił koronkę do *przedmienia potabiego*—zostaje najnieulśniej uratowany—cudzą pracą, gdy tymczasem Helenka, która cudów wytrwałości dokazała—nie a nie prawie zrobić nie mogła bez pomocy *dużego machina*—t. j. młodego Radlicza.

M. Bohusz.

Koźmian Stanisław (1811—1885). Poznań, Leitzgeber i Sp. 1886.

Z książką tą, znaną w części z *Przeglądu polskiego*, gdzie była pomieszczona, musimy się liczyć, bo podaje nam wiadomości z najbliższego otoczenia Koźmiana i przynajmniej niewydaną dotychczas korespondencję jego z Krasinśkim. Po za tem jednak jest to panegiryk dla Koźmiana, budzący tylko niesmak. Wyniesiono tu na piedestał p. Stanisława, zarzucono tożę miedra na pisarza miernych, bardzo miernych zdolności, tendencyjnego, zacofanego. Nie będo opowiadał historii jego życia ani rozwijał jego pólne, ale nie twórczej działalności. Jest to najdojrzalszy okaz konserwatysty szacowanego, skostniała w dogmatyzmie.

Żywnie tacy ludzie do siebie podobni w Warszawie, w Poznaniu, w Krakowie. Stańcożyż to ich posiew najlepszy, najrozmnożniejszy. W żyłach Koźmiana płynię jeszcze krew starej gwardyi konserwatystów. Wprawdzie mówi biograf Stanisława Koźmiana, że krew jego niebieska zabarwiona już trochę atramentem, ale ja widzę w nim nieodrodzonego potomka Koźmianów, pochodzącego z prostej linii od zalekiego, zacofanego klasyka, szlifziora *Ziemianstwa*. Każdy zachowawca musi piastować jakiś wyższy urząd, St. Koźmian wysługiwał się szrazen lordom angielskim na stanowisku sekretarza „Towarzystwa przyjaciół Polski,” pisał mowy dla członków parlamentu i artykuły do gazet zagranicznych w sprawach emigracyjnych, później został prezesem „Towarzystwa przyjaciół nauk” w Poznaniu i był wiecznie starym prezesem. W literaturze znanym jest Koźmian jako autor dzieła *Anglia i Polska* i jako Thomas Szekspira. Biograf podnosi go wysoko jako współrodzika *Przeglądu poznańskiego*; zwłaszcza jego krytyki literackie mają być „arcydziełami” tego kunsztu—w rzeczywistości jakby są tak kotoryjne i zaśniebiałe, jak cały *Przegląd poznański*. Miał Koźmian posiadać obłądliwą pamięć, czego dowodzi to, iż od 1 stycznia do 31 grudnia bez zatknięcia (?) wymieniał przypadającego na każdy dzień „patrosz...” a nadto również dobrze pamiętał wesołe lub żalobne anwersarsa wszystkich krewnych, przyjaciół a nawet dalszych znajomych. Do wielkich „wyjątkowych” zalet Koźmiana zalicza mu takto i to, że „objaduje u największych dostojników, a pod jego piórem snują się pierwszorzędne nazwiska.” Całe to życie dworskie Koźmianów, Morawskich, Chłapowskich itd. wydaje mi się jedynie błogosiawionych: „Opisującemu ówczesne stosunki—powiada (str. 495)—raz po raz nasuwa się porównanie z *życiem pierwszych uczniów Chrystusa* po jego mece...”

Z całej książki rozlewają i nudnej, jak te zapiski Koźmiana, z których czerpie

autor, nie wiele można wycisnąć zdrowych myśli. Dość powiedzieć, że poglądy Koźmiana są idealami dla jego biografa. Z drobiazgów tego „hrezkośjęstwa” literackiego podnieść należy stosunek Koźmiana do Krasinśkiego, skrócony na podstawie korespondencji. Biograf obu przynajmniej, my widamy szkodliwie oddziaływanie wzajemne. Koźmian uroił duszę poety wyjątki dogmatyczną, Krasinśki zarażał przyjaciela mistycyzmem i mimowoli popychał do nasładownictwa w sztuce oddawiania wierszy. Obaj, ulegając niewiódym wpływom duchowności, tak zagrozieli w bigotery, że Krasinśki dziękuje za modlitwę Koźmiana na intencję chorego syna (Adzia), i obiecuje ze swej strony modlić się o zdrowie dla matki Koźmiana. „Ty za Adzia ja za matkę Twoją” — pisze Krasinśki — takimi wstępnymi przedmami, jak druty elektryczne, bo z ziemi do nieba przeciagniętami, wiązemy się...” Przyjaźń ta była—jak się okazuje z listów—serdeczną i głęboką. „Kochaj przyjaciela—pisze do Koźmiana—który z głębi serca cię kocha owa instytutką, roślinną, rodziną miłością pierwszych lat, wspomnień, wrażeń, koleżeństwach życia, nieodłączną już później w dalszych żywota rozwojach.”

Tys wiele wielkości, swego zbawiciela serca Ty byleś dla mnie widomym aniołem Aniołem w duchu, i w prawdzie, i w czynie—Oplekaj Bożę—w człowieka postaci Bratem niebieskim pośród ziemskich braci, Tarczą, obroną, cześciś nienazwaną, Za co dziękując przyklekam przed Panem I proszę Pana: Niech tobis zapieczęlu.

Ten przyjacielski stosunek autora *Niebożki* do Koźmiana jest tu dokładnie rozwinięty.

Z.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Vytautas. Rzut oka na starożytność narodu litewskiego. Petersburg, 1885 r.

Nie że względu na specjalistów, lecz mając na uwadze ogół żądny oświecenia, postanowiliśmy ostrzedz czytelników przed balamntwami, okraszonymi erudycją autora, który, mimo znajomości litewszczyzny, zamiast oświecić nas o zwoyczajach, obyczajach i mowie dawnych litwinów, bogatą swoją naukę zużywa na tworzenie dsiwowych bipotów. Wprawdzie były czasy, kiedy genialni nawet pisarze w starożytnych asyrah widzieli prądów słowian, wywodząc imię Nabuchodonozora od *na boh odno car* (!), zaś jednak wobec badań ścisłych, etymologia podobno niewielką odgrywa rolę; boć podobnożenie brzmienia wyrazów nie o ich znaczeniu stanowi nie może.

Zgadamy się, że znajomość litewszczyzny dla lingwisty słowiańskiego jest niezbędną; nie sądzimy jednak, aby wiedza owa winna być użytkowaną w ten sposób, jak to autor czyni; trudno nam bowiem uwierzyć, że bójczony Zamolkas, niby wieśczech u starożytnych i niepewnego rodu gotów, którego p. V. nazwa Baeboldeizem czyli Gwoliwodziem (t. j. Zyciodawcą), był litwinem, a uczęga Pytagoras o nieśmiertelności duszy tudzież przejsioj jej w ciała zwierzęce, teoryę tę za pośrednictwem uczenia swojego wśród groków rozpowszechnił. Skąd autor wie, że neowro i budynowie, wspominaui przez Herodota, stanowili związek ludów litewsko-prusko-lechickich, mieszkających na pomorzu baltycznym, ponieważ zaktoryfzastaka zowie się politeuwką *Nerungą*, t. j. wrota nerów—od tego niemieckie Neuring albo

Nahrung (I). Dowiadujemy się dalej, że druga część wyrazu *awo-boda*, jest pierwiastkiem równym litewskiemu *bodas* i sanskr. *budh*, od czego nazwa *buddhy* (mędra) pochodzi. Dowodzi to, iż p. V. mimo biegłości w języku litewskim, nie ma dokładnego pojęcia o powstawaniu form wyrazowych czyli morfologii porównawczej. Pominąwszy liczne dźwięczności w książeczce tej rozbieżne, podziwiamy jednak śmiałość autora, który w nazwach słówian połabskich, zwłaszcza w obrotach i wilkach upstrzeż początek litewski. Oczemie więc są zabytli języka tych plemion, zachowane w słowno-biorach: Henninga, Pihls itd., na którym to materiale znakomity badacz August Schleicher opracował gramatykę połabską. Świadectwa zresztą Adama Bretnackiego, Helmda, Eginharda, liczne dyplomy arcybiskupstwa hamburskiego, bremńskiego itd. jednoznacznie przemawiają za słowianstkiem pochodzeniem ebotrytów i wilków.

„Miało Kraków — mówi p. V. — jest wspólnego miłna z litewskim: Krokautis (Krapol), Krakini (Kruki), Krakinas (Krakinów).” Nazwy rzek: Łaby (Elby), Wisły i Odry są zdaniem p. V. czyste litewskie; *łabas* bowiem znaczy dobry, *łobis* — bogactwo, a *vyelas* — żywny, urodzaj, *weisle* — ród, rasa, *audra* — burza, choroba. „Te nazwy dowodzą — twierdzi autor — że przed osiedleniem się łabów i niemców nad Wisłą, Odrą i Łabą, mieszkali litwini, którzy tym trzem rzekom nadali imiona litewskie.”

O ile wiemy, pierwszy raz p. V. odkrył światu obywateli. Co do Krakowa, mogliśmy przytoczyć setki podobnych nazw, w obojętym nawet niesłowianackich językach, jak to już uczynił Szaflarzyk i Maciejowski, lecz pracę tę uważamy za próżny wysiłek wobec faktów, o które toczył spór już się nie godzi. Z tych przeto powodów, w baroach p. Vytantasa na litewskim koniku, widzimy jeźdźców lewkoewanie nauki ścisłej i grantowej. Seyta Herodotowa stanowi mętne w badaniach dziejowych jesiorko, lubo wielu już łowio w niem żaby, głosiło przed światem, iż mają pełną siódłą ryb. Skądże, że autor zdobył wiedzę etymologiczną, posuszając się na manowce etymologiczne. Może przed kilkunastu laty praca p. V. wyczołaby jakąś uwagę, dziś jednak jest spóźnionym nader plodem bujnej i nieumiarkowanej wyobraźni.

Justyn Feliks Gajdler.

POEZJA.

WIECZÓR.

Już zmruża powieki
Słoneczność dnia oko,
Widnokrąg daleki
Jak złany posokał!
Gdzie niebo się krwawi
I płonie jak żar,
Sznur ciągnie kórwi
I dźwięczy jej gwar...

Gwar mdleje, sznur tonie
W powietrzu gdzieś beznio,
I niebo w tej stronie
Już gaśnie i blednie;
Mrok spada na chaty,
Na pola, na bór
I kąśki pyzuty
Popatrzał z chmur,
Na stawu topiele
Garść cisnął promieni:
Po wodzie się ściele
Ślask z drogiej kamieni,
I mrużka i neji
Świećnością swych drgań,
Nie oprę się chęci

Puszczenia się nań...
Na tor ten zakłety
Już łódź mię ponośla,
Nie woda — dyamenty
Wciąż sączą się z wiosła!
Czy w górę, czy w ciemną
Głęb! złrocz wrok mój —
Nademną — podemną
Migocie gwiazd rój,
Jak niebian zrenie
Patrzacie ciekawie,
I dwa łania kłójące:
Ton w górę, ów w stawie.
Mnie krągiem obwodzi
Kulisty ten sklep —
Zawisłem w mej łodzi
Pośród dwóch niebi
Więc patrzę po stopie:
— Jak przyszło wysoko!..
To w toni wrók topie:
— Jak przeszło głęboko!..
Któż z głębin tych sorze
Wyłowi w swą sieć?
Któż wzniesie się tak może
By gwiazdy to mieć?
I smutek mię gnębi,
Żem dąbieć przedawitu —
Nie sięgnę do głębi,
Nie wleczę do szczytu,
Lecz w nocnym zamierzchu
W nieznanej gdzieś dal
Ja płynę po wierszku
Zdradziwych tych fal;
Że zanim promienna
Zaswita, jutrenko,
Głębina bezdena
Pochłonie czołenko...
O, błysnąć nie liczącem
Że złota i róż,
Choć jednym promyżkiem
Zaswita nam już!..

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Udroczenie muzyczne. — Artym Warszawy. — *Wesela Figara*. — Dławy fakt. — Wychował francuskie. — Nasza walkliwość. — Odezwą w sprawie Kraskowskiej. — Kto powiełen go wykupił. — Gdzie autorowie cenieni przez arystokrację. — Tańsł sposób. — A. Gostkowski i sposobność wypłacenia mu długu wdzięczności.

W moich nocach bezsennych, gdy leżąc na łóżku po kilkunastu godzinach pracy, strudzonej i roznerwowanej błaganiem o litość przez ściany, sufit lub podłogę niewiedomego, wygrywającego na fortepianie różne „suszczki” doznawałem stale jednej pocięchy: Warszawa jest muzyczna, skoro na te przyjemności tak dużo noey zużywa. I wtedy chętnie poświęcałem mój sen artymowi, który mnie z równą wzmieszkliwością przesładował w każdym zamieszkanym domu, sęgił jakim katarynkiem na ulicach, nosowem nęceniemi w miejscach publicznych i zebrałach przywrotnych. Od czasu zaś do czasu półmilionowa ludność naszej stolicy śpiewała chórem jakąś polkę, walc lub wesołą arykę, jak gdyby niewiernych chęcią tym zbiorowym dozwoleniem przekonał o swych muzycznych upodobaniach. Wobec takich faktów nie mogłem wątpić. Często też uczuwałem głęboki żal do dyrektory teatrów warszawskich o to, że ona nie wyszukuje i nie nadawała tego pięknego nastroju, że nas tak skąpo darzy „prawdziwą sztuką,” o którą wszyscy upominają się, której lakną. Najwyższym bogiem w świątyni tej „prawdziwej sztuki” jest dla mnie Mozart. Cemuż nie wystawiają jego oper — *Don Zuan*, *Wesela Figara*, *Fletu zaczerpnanego*? Cemu ciągle tylko słyszymy o zamiarach,

o obietnicach wielkiej uroczystości artystycznej! Przecież Warszawa, ta muzyczna Warszawa dusiaby się w tłoku przy kasie teatralnej — ona, która na łóżku w nocy torturuje ludzi aw muzyką?

Długo tak smutne rancielem pytania — narazie ukazała się nie reporterska obietnica, ale afisz, rzeczywisty czerwony afisz, zapowiadający *Wesela Figara!* Ach, czemuż — pomyślałem sobie — nie posiadam przywileju zdobywania biletu na pierwsze przedstawienie! Cemuż nie mam albo moonych łokci i zeber, albo wpływowych „stosunków,” albo... Muszę czekać, aż przedaję wybrany tego świata.

— Pan zapewne masz dziś krzeło w teatrze — zagadnął jednego z nich.

— Co to? *Wesela Figara* O, nie, dla mnie ta figa już się abył odokrowała.

Tępy oświeceni, ale potrzebny, bo ustępuje miejsca innym przy źródle, z którego pić nie chce a z którego oni pić pragną. Jedni takich wiojęj jest w Warszawie... Pędź latawcze redakcyjny do kasy Teatru Wielkiego i kup mi bilety.

Było to o godzinie 4 po południu.

Wraca — przynosi. Nie wierzę własnym oczom. Na pierwsze przedstawienie *Wesela Figara* można po południu jeszcze dostać biletów? Co to znaczy? Co to za dziwny fakt w mieście, które śpiewa z pałami całego *Gasparone’a*, którego wszystkie domy brzmiały dniem i nocą, jak pudła grające?

W sali teatralnej widzę rzadko zajęte krzesła — los przeważnie puste. Niepodobna się ludzi — dla większości Mozart jest już zbyt odokrowany.

Za co ja tyle wycierpiałem w bezsennych nocach, gdy przez ściany, podłogę, sufit lały się na mnie strumienie polek, walców, kontredansów, wyjątków z *Carman*, *Gasparone’a*, *Marty*, *Trubadura*? Za co cierpię tylu meczowników fortepianowej tyrani? Bezpłodna ofiara!

I oto znów siedzina życia, w której okłamujemy się frazesem, *Wesela Figara*, koncert symfoniczny, występ słynnego skrzypka Saureta — wszystkie te noaty artystyczne, przyjęte bardzo chłodno, świadczą, że t. j. „prawdziwa sztuka” spoczywa dotąd na naszych ustach, ale nie w seron. Zjawisko to zaś, zestawione z innemi, pokornie, wyraża na widok znaną właściwość natury naszej, lubiącej myśli i uczucia pytkie. W filozofii — religijny komunizm, w historii — ośca prachowiska, w socjologii — przesąd, w sztuce — wesołe polechtania, czy z takim nastrojem i gustem można dźwignąć się do tego, którego dźwigać musimy? Wsiadłszy się pilno w tony umysłowości naszej, dostrzeżemy w niej oderzający brak poważnych. Dziwnie podobna nam się lekka operetka życia; zamkamy oczy przed jego dramatem, wzdrygamy się przed jego tragedją. Jeżeli wszystkie bóle i straty nie nanczyły nas powagi, to co nam ją da? Co nas odwróci od szlignania się po wierszku wiedzy i sztuki, od rozeinania najwybitniejszych zagadnień społecznych i naukowych typem ogólnikiem lub błyskotliwym dowcipem? Bodaj ta Francya, która przez tyle wieków była naszą gubernantką i modniarką, zbankrutowała na wszystkich swoich *articles de Paris* za to, że w nas naszczepiła swoją blagą, swawolę, trzpiotowatość, płytkość, nie obdarowywawszy jednocześnie swoim rozumem i talentem Odbardoi, w dsiurawych butach, pogwizdując i traskającą konceptem, smutnie wyglądającą „francuzi Polnooy.” Wesoła maza z rozprutą na boku spódnicą, dwunastkami kapiącą tłuszczem bezwstyda, gryząca sól lub ostro szczyderstwo — to jeszcze zdolni jesteśmy odcznie i zachwytem uczuć. Ale po za tą sforą drażniących wrzasków objawami przesadzającą, martwą obojętności. Gdyby dzisł Euklides ogłosił nam zasady geometrii, Bacon — nową metodę, Kopernik — nowy system, Mozart — *Don Zuan* —

pobiegłbyśmy na kiermasz, na *Gasparone'a*, na bal panieński, na widowisko magiczne.

Nie miejsce do mnie żalu ci wszyscy, których bym istotnie skrzywdził, gdybym z tego oskarżenia nie wyłożył. W szarych tonach wielkości odbijają się kółła ludzi myślących i czujących, którzy w mroczach i wicherach, w walkach i cierpieniach dojrżeli, stwardnieli, spowznali. Ta nasza arystokracja duchowa stanowi conny naczyn przyszłości—w nią każdy obserwator patrzy, gdy nie wąpi, gdy odpada się rojeiwo złych wróżb. Czemuż wszakże i ta arystokracja tak wolno się rozmałała! Ale ja wierzę w jej płodność, w jej liczną potomność, które będą rzeczywiście i szczerze kochało prawdziwą naukę i sztukę. Żeby tylko tym pokoleniem przyswieciło jasne słońce losu.

Światło takie ludźmi dobrej woli pragnęliby zapowiad Krzaskowskiemu. Wypnieszony z wigienia za kauceja przebywa on obecnie w San Remo chory i rozbity, udrencyony ciagle koniecznością powrotu do magdorburskiej twierdzy. Wobec tej ohmury zawieszono nad resztą życia znakomitości piaszra, rzucano myśl, ażeby społeczeństwo pokryło składkami kauceja (wynoszącą około 12,000 ra.) i uwolnili go od dalszej kary, zwłaszcza że nie zobowiązał się do odpokutowania jej słowem honoru. Tworząc tego projektu jest Józ, który w znacym swym zamiarze zapomniał o trudnościach praktycznych. Krzaskowski zasługuje na nową ofiarę—suma wykupowa nie jest wielką, ale jak ją zebrać? Gdyby Poznański nie był ziemią wyjąłową, a Galicja skalista—możnoby jej powołać do tej roli. Niestety, wiemy, jak słabo tam odbija się każdy głos kwestariski. Pozostaje więc tylko droga ofiarności jednostkowej. Mamymóżnowiadców bogatych, dla których kilkanaście tysięcy rubli stanowi drobność; czy którykolwiek z nich nie mógłby sam lub do spółki z innymi wykupić Krzaskowskiego? Ha, ha, ha, przecięgłoby się niezadowolone twarzel Bankier ucieka po wymówkę do ciężkich czasów, arystokrata—do zasad, które Krzaskowski musiał gdzieś i kiedyś obrazić. Powiadam: masz! bo trudno wyobrazić sobie piaszra, któryby w świecie herbowych palek nie zakreślił zła wonia jakiegos dostojnego nosa. Widziałem już takie nosy, zakrecone na wydawców genealogii. Wę współczesność literaturze polskiej nie znam autora, za którego by arystokracja dała 12,000 ra. Bo gdyby nawet p. Sienkiewicz został więziony w jasyr przez niewiernych, wątpię, czy by go nasi bratowie i księżadza za taką sumę wykupili. Przedzby je okazał taki wspaniałomyślność Gebethner i Wolff. Po uwiezieniu Krzaskowskiego czytalem w pismach doniesienia o gotowości paru magnatów do ofiar pieniężnych. Wtedy odwydwała się zapamiętała licytacja dobrych chęci. Dziś wszystko to głosy umilkły i schowały się do kieszeni.

Tego ozłego organu zbyt mocno dotykać nie należy nawet u tych ludzi, u których on spełniać nadmierne; więc zamiast go przedciąć dalszym wywodom, wrzaskę możnowiadcom: posiadają oni rozróżnienie i wysoko sięgnęte stosunki—niech ich użyją dla wyjednania mu zupełnej amnestyi. Wszakże tym sposobem zdobyto jego ułrop...

Przed kilku tygodniami zmarł w Lublinie nauczyciel tamtejszego gimnazjum Aleksander Gostkowski, zostawiający rodzinę w niedostatku. Byli uczniowie tego znacznego przewodnika zbyt wiele mu winni i zbyt dobrzy zachowali o nim pamięć, ażeby nie dojrżeli w swych sercach obowiązku wdzięczności, gdy im przypomniał ją smutny los sierot. Każdy z nich odezwać chęć znajdzie właściwą drogę aplacenia długu

zmarlemu, jeżeli tylko o sposobności ku temu się dowie. Ponieważ zaś głos *Pravdy* nie do wszystkich sięgnie, spełniać czyn obywatelski wszystkie pisma, która naszą zamiankę w kole swych czytelników rozszerza.

Posel Pravdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Reformy w pismach prowincjonalnych. — Solidarność. — brudu. — Energią młajęca. — Spółki spoztywcz. — Sposoby na dybala. — Nowa metoda badania chorych. — Rozumny pomysł.

Od nowego roku dwie gazety prowincjonalne — *Lubelska i Radomska* zmieniały redakcyę i zaprowadziły pewno zmiany w układzie i kierunku. Właściwie co do *Gazety lubelskiej* powinienem dodać, że kierunku żadnego nie miała, troskę zaś jej załatwiała wyłącznie od przypadku. Zdarzało się czasem, że pomieszczała korespondencyę dobrą, że poruszała sprawy żywotne, nawet nieraz drażliwe, ale widocznie było, iż osyni to dlatego, że ktoś przysłał lub przyniósł artykuł, którym redakcyja rada była zapobiec puste lamy pisma. Numery tegożorne robią dobre wrażenie, staranność w układzie świadczy o dbałości redakcyi, która przemówieniem do czytelników dowodzi, że rozumie znaczenie organu prowincjonalnego. Zakres działania pracy miejscowej skupia się, ale ważny niezmierznie i odrębny zupełnie od charakteru pism ogólnych. Redakcyja *Gazety lubelskiej* pojmuje skromnie, ale pożytecznie zadanie swoje i nie wdaję się w niepotrzebne gadulstwo, oświadcza, co i jak robić zamierza. Nie wywiesza ono żadnego standardu i nie zalicza się do żadnego obozu, co, jak sądzimy, nie znaczy, że nie będzie miała żadnych przekonań, ale tylko, że rostrzagaśnie spraw zasadniczych zostawia innym. W piśmie prowincjonalnym kierunku stoi rzeczywiście na drugim planie, idzie tylko o to, żeby nie rzucił on fałszywego światła na fakty i sprawy życia miejscowego. Spodziewamy się, że organ lubelski wyznacznikiem tym odpowie.

Chciałbym, ale nie mogę wierzyć, że odpowie im i *Gazeta radomska*, starannie bardzo i niejednietnie redagowana dotychczas przez p. Z. Słupskiego. Zogugając się z czytelnikami swymi b. redaktor szczerze objaśnia, dlaczego dalej pisma prowadzi nie może. Z objaśnienia tego widać, że właściciel *Gazety* nie był widocznie z niej zadowolony. Pisma warszawskie głoszą już dziś, że *Gazeta radomska* ożywiła się; rzeczywiście, jeżeli mianem tem nazwiemy niemażne koncepty reporterskie i kuryerkowe plotkarstwo. Innej zmiany, ani na gorzej ani na lepsze, oprócz tej, niewidzimy.

Nietylko trudnym jest zadanie dziennika miejscowego, ale i ciężkimi warunki jego istnienia; leczyż się bowiem zawsze on musi z nalogami i uprzedzeniami parsiłnemi. Niedawno kronikarz *Dziennika łódzkiego* skarcił w fejtletonie jakieś miejscowe plugustwo, które zamiast cicho siedzieć, agituje teraz na szkodę pisma. Obrzcano osobistości zbierając od znanych zobowiązania, że ci *Dziennik* prenumerować nie będą. Dotychczas znalazło się w Łodzi 25 ludzi tyle nierozsądnych, w których względy osobiste lub dobowolny poćiąg do solidaryzowania się z brudem przemocy poczuć obowiązok obywatelskich. Agitacja taka pisma nie zabije i nie zaszkodzi mu nawet, ale wydaje świadekto ubóstwa umysłowego t. z. inteligencyi łódzkiej.

Kiedy chodzi o spłodzenie głupstwa, potrafimy zawsze ujawnić spory zasob ener-

gii i zdobywamy się nawet na oryginalne pomysły, w innych za to sprawach pochwilowym przebytku ożywienia szafundulstwo odkryskuje swoją władzę i paraliżuje pożyteczne zamiary *Gazeta warszawska* podaje ciekawy przykład takiego szybkiego zamrażania energii. Zebrani na wyhoradów Towarzystwa kredytowego, ziemianie płoey postanowili zawiązać wazwajenne stowarzyszenie ubezpieczok rolnych. Projekt podpisał 180 współników, ponieważ jednak sporządzenie aktu rejentalnego wymagało pewnego czasu, ostateczną naradę i podpisy odłożono do dnia następnego. Na naradę ową zebrało się już tylko 14 interesowanych, a do podpisania aktu po naitlych staraniach zgromadzone josszeze 12.

Od tej chwili upłynęło przeszło pół roku, spółka istnieje, ale dziś ledwie załadowo 100 uczestników. Głizież się podzieliło 80 tych „nieobecnych“! Machnęli ręką i poszli spać lub grać w karty, chociaż sprawa ta, która odbiegła, nie jest żadnym poświęceniem dla ogólnych celów społocnych, ale dotyczy wprost kieszeni deserterów. Jeżeli na głos wyższych wymagań jesteśmy głusi a na własną korzyść ślepi—to i oół nas wrzeszcie poruszysz dziola?

Kakłwicz ślimacz nieudalstwo pelsa po całem naszym cielo społecznem, to jednak najbardziej umiłowalo sobie pobyt w Ploeku. W mieście tem istnieje stowarzyszenie spoztywcz „Zgoda“, którego zarząd przez rok cały w pewnych odstępach czasu zwolnie na posiedzenie uczestników i nigdy w dostatecznej liczbie zebrać ich nie może. Naprótno *Korespondent płoeki* wola; bądymy przynajmniej rozumnymy samolubami — członkowie udają, że nie słyszą i na posiedzenie nie idą. Wszystkie prawie spółki spoztywcz w nas prowadzą nędzny żywot, ale „Zgoda“ nie chce nawet wcale istnieć. Na ostatnim posiedzeniu, które zwołano wrzeszcie bez względu na liczbę członków, jednym głosem większością tylko zatwierdzono dalsze istnienie stowarzyszenia. Można dodać wprawdzie, że jeden głos stanowił równieć o tem, czy Francya ma być Rzeczpospolitą, ale nie wielka to chyba pociecha.

Przed miesiącem odbył się w Warszawie zjazd przedstawicieli stowarzyszeń spoztywcz. Panowie ci postanowili założyć wspólną agencję, rozprawiali długo o tem, dlaczego instytucje tego rodzaju szczerpią się u nas tak trudno itp. Ale nikt z nich nie zwrócił uwagi na najwazniejszą przyczynę niepowodzenia, która tkwi w fałszywym zrozumieniu zadania takich spółek. Teraz oto up. pisma pomieszczaają sprawozdanie z działalności Biura spoztywczego w Uładowce i chwala go za to, że przyniósł uczestnikom znaczne zyski. Ubieganie się o te zyski, o wysoka dywidendę stanowi właśnie słabą stronę naszych spółek. Stowarzyszenia spoztywcz mieć powinny na celu nie dostarczanie uczestnikom zysków, ale produktów tanich i w dobrym gatunku. Tam, gdzie wkłady wynoszą małą kwotę, dywidenda jest rzecz podrażną. Gonitwa za zyskiem zmusza zarząd do zakupywania nie tych towarów, które są lepsze, ale tych, które dają większy procent, w rezultacie zaś niema i zysku, bo nieostreżny zniechęca się i przestają kupować w sklepach stowarzyszenia. Że tak jest, świadczy powodzenie, jakie mają stowarzyszenia spoztywcz przy wielkich fabrykach, którym właśnie o dywidendę dla członków wcale nie chodzi. Przedstawiają one josszeze i tę zaletę, że działają w zakresie ograniczonym, że znają dobrze potrzeby spoztywcz i nie wydają wiele na administrację. Błędem jest mniemanie, że jednocześnie spółek przyniesie jakakolwiek korzyść; produkty spoztywcz należą do tych właśnie towarów, które nie powinny być zakupywane w wielkiej ilości, raz dlatego,

że nie mogą być długo przechowywane, powtórze, że dobrać ich w znacznej mierze polega na tem, żeby otrzymywać je wprost od producentów, nie zaś od hurtownych przekupców. Zrosną szeroko rozgłoszona administracyja kosztuje zbyt wiele i spólna obowiązki są niebardzo; dlatego to towary w sklepach stowarzyszonych spożywczych gorsze są i droższe, niż w wywozajnych kupców, a obiady w kuchniach takich droższe i gorsze niż w opłacających wysokie patenty garkuchniach.

Oreszkowa w ostatniej swej powieści p. t. *Dziurawienie* opowiada tragiczną historię wiejskiej lekarki, posadzonej o czary i zamordowanej w oskarżeniu. Znakomita autorka z przesądzającą prawdą przedstawiła ten straszny dramat, odgrywający się w zapadłej wiosienicy białoruskiej i rozwiązanie jego w sali sądowej, rozwiązanie, po którym nie wiadomo kto bardziej żałował: czy niewinnej ofiary, czy też niewinnych jej zabójców. Zupełnie podobny wypadek miał miejsce niedawno w powiecie miłwskim. We wsi Tężewie żona kolonisty dostała pomieszczenia zmyślow. Głos powozeczny uznał za przyczynę choroby „się nieczystą”, którą sprowadziła i ulokowała w ciele chorej, niejaka Wronkowa, mająca, jak to było powszechnie wiadomo, bliskie stosunki z „niemcem”, t. j. z dyabłem. Goriwie śledstwo wykryło nawet, że Wronkowa „zadala” Brydzynskiej „urok” w piwie. Wskutek ogólnej naraźy bab wezwano ożarownię, żeby „odczyniła urok”, kiedy zaś nie chciała tego zrobić, sąsiadki zaczęły ją bić po głowie warzawkami, ponieważ jest to wyprobowany sposób na dyabła, który warzawki najbardziej się boi. Wronkowa z niekiego pobicia w kilka godzin później życie zakończyła, zszesnając zaś bab, które przyjmowały udział w straszaniu „kusego”, poćmięgnięto do odpowiedzialności sądowej. Oczeki ich za to mniej lub więcej surowa kara, która jednak ani winnych, ani sąsiadów ich nie przekona i przekonanie nie może, dopóki wiara w dyabła będzie im głoszoną z kazałnicą, a wypędzanie jego odbywało z uroczystościami ceremonii religijnej. Przed 10 laty, kiedyś był studentem uniwersytetu, do stróża domu, w którym mieszkano, przywieziono ze wsi jego „opętanego” brata. Na drugi dzień sprowadzono z parafii św. Aleksandra księdza, który według opinii powszechnej był bardzo „skuteczny” na dyabłów, i ksiądz ten potajemnie, w obecności kilku tylko uprzywilejowanych osób rozpoczął egzorcyzmy, kroił chorego święconą wodą, okroślał go święconą kredą i czytał specjalnie, na ten cel przeznaczone modlitwy. Rozumie się, że chorego pozostał w rymat.

Nietylko chłopci zresztą, ale i inteligentcy nasza wierzy w nadzwyczajne przyczyny i cudowne lecenie chorób. W Radomiu cieszy się obszerną praktyką jakiś owczarz, uczeń sławnego „Zukaszki”, który wynalazł nowy sposób badania pacjentów. Owczarz nie każe sobie nawet opowiadać objawów choroby, po prostu łapie rękę pacjenta i na zasadzie tego przepisu je lekarstwo. Prawdopodobnie dowcipny ten pomyślał diagnozy zjedyną ma zwolenników, stanowi bowiem „specyalność” nowego lekarza.

Czyż można dziwić się chłopcu, że szuka pomocy u znachora, jeżeli jego „naturalni przewodnicy” dają mu przykład, pomoc zaś lekarska jest na wsi prawie niedostępna? Prasa nasza sądzi, że przeciw znachorom najskuteczniej działać może polityca, ja tu dodam tylko, że o owem egzorcyzmowaniu chorego na ulicy Wspólnej „dla porządku” zawiądomy być p. rewirów, który wybór kuraczoj najzupełniej pochwalił i poraził sąwet, jeżeli lecenie nie będzie miod skutku, wezwad „pomorara” z ulicy Długiej, który także „jest bardzo

chytro przeciw ciarciu” i nieraz go już do brzo poturbował.

Dostarczenie ludowi pomocy lekarskiej najprędzej osłabi powagę znachorów i wierę w czarownice, a nie mówią już o innych korzyściach, których nikt nie zaprzecza. Na podniesienie przeto zasługuj pomysły praktyczny kilku obywateli wolnychskich, którzy postanowili wnieść roszną składkę na utrzymanie stołecznego lekarza i namówili do tego włascian. Każdy dwór i każda gromada płacią po 25 rubli rocznie, apteka zaś w pobliskim miasteczku zgromadzi się 300 tysięcy stowarzyszonym lekarstw o 30% taniej. Tego rodzaju związki powinny przybrać szersze rozmiary, śladnych bowiem przeszłość spotkać chyba nie mogą.

J. Nieboreki.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta toruńska pisze:

„Ks. proboszcz Hebel z Trąpcin pod Lubawą wziął udział we wspólnym obiedzie, jaki z okazji jubileuszu odbył się tu nasali p. Goldstana. O ile uroczystość ta była piękną i wspaniałą, o tyle jej zakończenie było dnia tego przygnębiającym niedogodem. Rzecz miała się tak: Ks. prob. Hebel przyszedł z kilkunastkiem swym do tutejszego sędziogo okręgowego p. Kretschmera z temi słowami: „Pan pozwolisz, że tręąc (?) z nim na zdrowie naszego Najjaśniejszego Pana.” Na to sędzia Kretschmer odpowiedział: „Z panem tręć (?) nie mogę, gdyż pan jesteś katolikiem, a katolicy nie mają ani cesarza, ani króla.” Gdy się ks. prob. Hebel na to słusnie obruszył, sędzia Kretschmer wstał i uderzył go w policzek. Ze ks. Hebel nie dał żadnego powodu do takiej awantury, wynika z tego, że reszta towarzyszący, z samych Niemców się składająca, oburzona była do najwyższego stopnia na Kretschmera, hurmem się na niego rzuciła, skórę potęgnie wygryzła i za drzwi wypchnęła. Sędzia miał ze sobą duże, ogromne piasko, podobno szczerł (tego jednak na pewno nie mogę konstatować, bo naoczni świadkowie różnie opowiadają), dosyć, że pies, broniąc pana, napastował biesiadników i także kijami i butelkami oberwał.”

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskiej Dniownik zamieszcza przyczołną poniżej korespondencję ze Lwowa, którą redakcyja opatrzyła takim przyciekim.

„Nie przywiązujemy szczególnej wagi do faktów, opisanych w niniejszej korespondencji, lubo że pewna gawędka toczą się wśród polaków galicyjskich, zda się być prawdą.”

A to korespondencja:

„Niedawno odbyło się w Krakowie tajne zebranie agitatorów polskich, przeważnie studentów uniwersytetu. Zebrano się dosyć sporo młodzieży, lecz byli i ludzie dojrzały. Oto kilka wiadomości o owem zebraniu:

„Ponieważ patrolcy polscy przekonali się, że Austria zamysła o cześć niedobrem, a mianowicie chce uwolnić się od polaków, oddając ich Rosji, dlatego właśnie, że mają w Austrii wplywy przeważające, więc zebranie uważa za rzecz konieczną oprzeć się tym planom siłą i rozpocząć w tym celu organizacyję zbrojnego powstania; za pośrednictwem komitetu głównego we Lwowie i podległych mu komitetów prowincjonalnych zbierać ofiary, zakupować sprzęt, urządzać magazyny, przysposabiać odzież wojskową itd.

Z obrad zebrania okazało się, że już istnieje komitet główny, złożony z pp. N. i NN., oraz że poseł NNN. złożył na ręce komitetu 10,000 złr., a za jego przykładem popłynęły ofiary od innych członków arystokracji. Następnie na zebraniu poruszono kwestyę, że i pomiędzy lud na-

leży wyprowadzić agitatorów; lecz na to zrobił uwagę jeden z obecnych, że się obawia, ażeby lud nie powitał wicherzycieli w ten sposób, jak niedawno wydarzyło się z lubonikami Jówów (zebrali się aby zapalować, a lud, mianowicie ludność polska z okolic miasta Jasła, nie mając, że to powstańcy, w liczbie około 10,000 ludzi gotów był rzucić się na nich.)

Skutkiem tego propozycyja była odrzucona. W zgromadzeniu brali udział reprezentanci uniwersytetów: wiedeński, lwowski, ikrakowski, a również i inni ludzie. Krążył tutaj pogłoski, że w Krakowie było również zebranie krańcowych czerwonych w celu powstania przeciwko duchowiświatu, władzom itd.

W sejmie lwowskiemu zażwano wielkie zaburzenie i rozamiętnienie między posłami polskimi z powodu mającego jakoby nastąpić rozbioru Turcji, oraz oczekującego polaków przeznaczenia. Można zauważyć jakąś gorączkową agitacyję i ruch niezwykły, a wszelkiego rodzaju wyjaśnieniem niema końca.”

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stopień naukowy. P. Józef Nusbaum po obronie rozprawy p. t. *Materiały do organogenezy owadów i raków* otrzymał stopień magistra zoologii od uniwersytetu odeskiego.

Czytelnie bezpłatne w liczbie 25, znajdujące się pod kontrolą Towarzystwa dobroczynności z końcem roku 1884 liczyły 14,473 dzieł w 18,823 tomach. Czytających było 4,013, wzięli oni w ciągu roku 114,967 tomów. Skoda, że wybór dzieł w tych czytelnich jest nieszczerły, i Towarzystwo dobroczynności za mało dokłada starań, ażeby komplet dzieł odświeżał i powiększał.

Prasa polska. We Lwowie od Nowego roku powstał miśtecznik *Przegląd społeczny*, pismo powołane redagowane, które pragnie skupić około siebie żywioły demokratyczne i postępowe. W Kolomyi wychodził zaczął tygodnik *Pomoc słabym*.

Przemysł. Warszawska fabryka stali ma być przeniesioną do Ekaterynosławia.

Z literatury. Prof. literatury powzechnej w uniwersytecie kijowskim p. Pawłow tomaczył i zamierza wydać w oddzielnym zbiorze cenniejsze utwory literatury dramatycznej polskiej.

Budżet rosyjski. Dochody państwa w ciągu 9 miesięcy r. z. l. 1/13 października wynosiły 482,100,452 rs., były więc o 14 milionów wyższe aniżeli w odpowiednich miesiącach roku poprzedniego. Zmniejszenie dochodów nastąpiło w elach o 6 mil. rubli, w akcyzcie od trunków 57½ ml. i od tytoniu 1 milion i od cukru 200,000 rubli. Przewidywany jest deficyt co najmniej w kwocie 2 mil. rubli, ponieważ wydatki w tym samym okresie urosły 509,941,478 rs.

Zjazd młynarzy poszedł utartą drogą, pp. obradujący nie mieli nie bliższego do zrobienia jak podanie petycji o podniesienie cla od maki zagranicznej do 30 kop. a puda.

Kasa szpitalna w Warszawie posłada wkładów na 1,616,112 rs. Niemwie, jeżeli porównamy ją z krakowską pp., w której wkłady wynoszą 9 milionów gułdenów. Jedną z głównych przyczyn tej różnicy jest nadzwyczaj zawiła manipulacyja przyjmowania i wydawania wkładów.

Związek kolejowy. Powstał projekt złączenia wszystkich dróg żelaznych w Królestwie w jeden związek, lub też utworzenia dwóch grup kolej lewego i prawego brzegu Wisły.

Bibliografja. Dr Piotr Chmielowski: *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestych*. Wydanie drugie, znacznie powiększone. Warszawa, 1886.

— O. Bujwid, *Z pracowni prof. Roberta Kocha*, Warszawa, jest to sprawozdanie z naukowej wykładki, w którym autor przedstawił wykłady słynnego badacza, dotyczące bakterjologii.

Rada dla „wikłokolów” krytycznych. „Dla głupców najgłębszym źródłem zyskania sławy jest napad na ludzi talentu. Skorpion nie zostali nigdy przyjęci do konstelacyi niebieskich, gdyby ich nie był ugryzł w pięcie Herkules.”

Los redaktora. Ks. Radziejewski redaktor śląskiego *Katolika* wypuszczony został niedawno z więzienia, w którym przesiedział 2 miesiące, obecnie czeka go znów 5 miesięczny areszt. Strawa więzienna była tak licha, że ks. Radziejewski nie jadł jej wcale, z własnych pieniędzy zaś wolno mu było wydawać na dzień tylko 30 fenigów. Lekarzy więziennych „zyczliwie” radził biednemu redaktorowi, żeby korzystając ze spójności, odbył „kurację głodową”.

Instytut technologiczny w Petersburgu liczy 220 studentów poławów.

Konkurs. Towarzystwo farmaceutyczne warszawskie ogłosiło nagrodę w kwocie 150 rubli za najlepszą pracę w języku polskim z dziedziny farmacji lub nauk przyrodzonych. O nagrodę ubiegać się mogą tylko farmaceutów urodzeni i zamieszkali w Królestwie. Prezys pod adresem Towarzystwa nadsyłać należy przed 1 stycznia 1887 r.

Zmarli. Wiktor Imbrunil, prof. estetyki w Neapoli, autor słynnego dzieła *Flame usurpate*, w którym występuje przeciw Goethemu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Izgd. Grot. Od czasu, jak gardziłam tym brudnym spragalem, nie obchodził nas ani jego potwarz, ani jego kłamstwo. Gacił takiego biota warszawskiego p. K. nie posłamy; objaśniamy Pana tylko, że wszystko to są bezczelne igraszta, gdyż ani dr. K. nie redagował nigdy „Auf der Höhe” z Sacher Masocheim, lecz łone tego tytułu pismo z Goergenstem, ani nie pisywał w *Bras. Nachrichten* przeciw słowianom itd.

A. R., u. Jetteli coś swoje światło chowa pod korcem, to można o niem mówić tylko na podstawie objaśnienia tych, którzy je widzieli. Tak właśnie my uczyniliśmy. Mamy „starac się” o te książki, która autor przed wrokiem publicznym ukrył? A to jak? Przecież chyba nie bierzemy w wiekach średnich i nie potrzebujemy z trudem zdobywać mądrość w kilku egzemplarzach rękopiśmiennych.

P. K. R. w *Szczecinie*. Nabyć jej u nas nie można. H. N. *Geologia Trejdosławicza*—krótka i treściwa. P. E. *Kryłowskiemu* w *Solu*. Jetteli redaktora *Fortuny* nie dotrzymała swych zobowiązań względem Pana i nie uwzględniła peńskich bardzo energicznych śladów, to cóż my w tej sprawie zrobić możemy?

OFIARY.

Dla *bińskich*. Puchalski z Łomży, kop. 25, Biskupski z Płocowa, kop. 50, Antoni W. za wybrak dobrego humoru u p. Z., rs. 2 kop. 15, U. Rakowski z Kijowa, kop. 50, Stabrowski z Łękańska kop. 20.

Na *wpis dla uczniów*. Beźmiennie rs. 10, Witwicki z Wierchle Ulańskiego Zawodu rs. 5, Głębocki z Zaczarska kop. 50, Sosonko z Kozłowa rs. 2.

Dla *studentów warszawskiego uniwersytetu*. F. Godyński z Mineralogii Wód rs. 4 kop. 20.

Dla *pogorzelskiej*. Grodzina. S. Morawska z Kijowa rs. 1.

Dla *polaków wydanych z Prus*. Od studentów polskich w Petersburgu rs. 128 kop. 39.

Ogłoszenia.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

zawiadamia, iż dzieło dr. Piotra Ohmiewskiego

Autoriki Polskie wieku XIX

studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, wyszło z druku i jest do nabycia w Administracji Spółki Nakładowej (Zielna 7-A.) po rs. 2 kop. 50.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Tom pierwszy opuścił prasę i zawiera twory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacjach. — Kocha nie kocha? — Katarzyna. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pomysł. — Przekleństwo. — Przy księżycu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Płóć światła.

Tomy następne wydają w bieżącym kwartale.

Po wyjściu drugiego tomu prenumerata nastaje, a cena czterech tomów podniesioną będzie do rs. pięciu.

Przeysyłaj pieniądze bezpośrednio do kantora Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

Abonenci prowincjonalni otrzymają wszystkie tomy razem.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ i MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularizuje prawo i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczysty świat zjawisk.

Treść: Przegląd kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanie. — Obrona nie szczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankrutstwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2; dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracji kosztowno przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje: Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Świąteczko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80 Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorko Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, przybyły nowe obrazy: K. Reichardt: Grupa przy moście, Grupa dzieci, Rybacka, Wenecyanka. L. Horowitz portret. W. Gersona portret. W. Żosia powóz do miasta. N. Pané Niepoda na morzu. P. Mercaria Sen Abłoki. K. Mirowskiego portret. W. Gódmalskiego Ojciec, Wspomnienie Ojswa, Zwaliska zamku. K. Piliatoga Wiktor Hugo. A. Piotrowskiego Polowanie. J. Fabia Nad barierami. E. Andrieuśkiego Chód bleda to hód Potyczka litwinów z Krykami, Strzyw, Tu niedygi. J. Malaszczyński Typ polki. R. Kochanowski Krajobraz. Z. Stankiewiczówny Z pomylny wyprawy. Przyjście. T. Dowgirda Kwiaty na łacie. W. Gumińskiego Droga w lesie. S. Heynmana portret, Głowa kobiety. C. Skupskiego Z okolic Galicji. E. Dukaczyskiego Portrety chłopczyków—Razbka. J. Godeckiego blust 4. p. Fabiana.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż w oddzielnej salie Wystawy Towarzystwa otwarta została *czarna Wystawa konkursowa* czasowa, złożona z trzech oddziałów: malarstwa, rzeźby i budownictwa. Oddział Malarstwa: J. Ogińskiego, Chrystus u szadził Siolec. K. Diebolskiej Zakonnik. M. Dulebianki Sama jedna. W. Puchalska Zdobyca. E. Lepskiego Alarm w XVI wieku. W. Malechowski. 1) Z nad Horynki. 2) Cleplarnia Hoserów. A. Malinowski Okolica w Galicji. J. Sygły 1) Magdalena. 2) Nowicjuska. R. Szewczyńskiego Dwie rozpacze. P. Seyndlera Ofiła. S. Wolskiego Dla chleba. P. Mercaria portret p. Altkierman. M. Kotarbińskiego Pod strażą aniołów. J. Maszyńskiego Ostatnie wiersze. W. Siernera Lśnawczy w przypawy. T. Lisieckiego Rycearz XVI wieku. Oddział Rzeźby: J. Kryńskiego portret hr. T. L. Frowicza Nieowłona. J. Wodgdy Rybak. M. Zawiejskiego popierale charakterystyczne. A. Próżyskiego Dwa popierale portrety. Oddział budownictwa: J. Hliza—projekt kościoła. R. Podlaskiego projekt willi. A. Kluciszewski wnętrze kaplicy Sobieskiego w Warszawie.

WIELKI ATLAS

ZOOLOGII BOTANIKI
i MINERALOGII

Prof. D-ra HAYEKA

VI zeszyt zawierający tabl. „Ryby” wydany z druku do nabycia po 60 kop.

Warszawa — Wydawca
H. Olawski.

J. Brandes
Główne prądy literatury XIX-go wieku.
Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przysyłką pocztową).

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przysyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincji upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub niedoborze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratę „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.